Cena 40 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

21 Luty 1937 r. Niedziela Rok II. Nr. 11

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

TREŚĆ NUMERU: Ankieta — *Tot:* Raptularz tygodniowy. — *Ksawery Pruszyński:* Katolicyzm i socjalizm. — Z 7 dni. — *K. B.:* Skargi, żale, demagogja. — *Juljusz Żuławski:* Anglja przed konferencją imperjalną. — Kronika zagraniczna. — *Asper:* Litwa na rozdrożu. — *Iza Moszczeńska:* Lud i masa. — *A. Sz.:* Pamiętniki B. Limanowskiego. — Przypomnienia. — *X.:* Baloniki reklamowe. — *Gryf.:* Aby handel szedł. — *Cyrano:* Preteksty. — Książki nadesłane. — *Dr. T. Sas Jaworski:* Pogotowie rolnicze. — *A. W.:* Przegląd prasy krajowej. — *Azet:* Z prasy Zagranicznej.

ANKIETA

Poczynając od orędzia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z maja 1935 roku, po przez wynurzenia premjera, zapowiedzi jeneralnego inspektora armji, mowy wielu ministrów i działaczów w rozmaitych obozach politycznych, a kończąc na rezolucjach zjazdów partyjnych, na głosach prasy wszelkich odcieni i na wzmagającym się uświadomieniu ogółu — stało się wiadomem i jasnem, że w Polsce należy się zwrócić do społeczeństwa dla wysłuchania jego woli i otrzymania nieodzownej pomocy.

Głosy krytyki częstokroć rozpaczliwej, a może niekiedy przesadnej, wskazują na różnorodne a powszechne niedomagania życia publicznego. Obojętną jest dla sprawy okoliczność, że jeden widzi to, a drugi tamto, natomiast istotnem jest zjawisko, że wszyscy dostrzegają zło. Ponury obraz naszej motoryzacji lub oświaty, albo warunki polityczne czy kwestje obrony narodowej są elementami tego samego zagadnienia: Polska. Czy dziwić się, że stosunek uczuciowy do własnego państwa wyraża się coraz potężniej i goręcej, czy nie cieszyć by się raczej należało z przejawu troski o przyszłość ojczyzny? Widzowie obojętni wobec zdarzeń ogromnych napewno nie wpłyną na kształtowanie się losów życia publicznego.

W Europie nietylko Polska znajduje się na przełomie, ale tylko Polska nie obrała dotąd wyraźnej metody postępowania. Stosowane są pół-środki i pół-metody. Wzory zagraniczne zarówno od strony dyktatur, jak i szeroko pojętej demokracji, są często hasłem bojowem rozmaitych ugrupowań, nigdy zaś trwałą rzeczywistością. Jutro jest ciemne dla kraju. Nie mamy dotąd koncepcji ogólno-polskiej ani dla ustroju, ani dla polityki wewnętrznej, ani dla gospodarki. Jeśli więc siły społeczne są rozproszone i niezdolne do narzucania własnego kierunku, to należałoby skorzystać z ich względnej równowagi i względnego spokoju, aby znaleść wspólną platformę — może nie idealnych osiągnięć, lecz praktycznego i szerokiego zastosowania.

Taką platformę może wyznaczyć wola i głos ogółu. Jednakże Polska znajduje się w tem szczególnem położeniu, że sądu powszechności niepodobna poznać ani z izb ustawodawczych, zbojkotowanych — jak wiadomo — przy wyborach, ani z działalności samorządu, bo pozostały z niego zaledwie resztki, ani z prasy, która podlega surowej kontroli w wypowiadaniu poglądów. Uchwały stronnictw muszą być z natury rzeczy jednostronne, nie uwzględniając cudzych wskazań poza obrębem własnej działalności. Pozostają zatem środki pośrednie, które mogą dać odpowiedź przybliżoną do prawdy.

Dla tych przyczyn otwieramy ankietę. Świadomie stawiamy sprawę ogólnikowo, nie chcąc wiązać narzuconemi normami przy wypowiadaniu zdania. Zapytujemy o dwie kwestje zasadnicze:

1. O DJAGNOZĘ OBECNEGO STANU RZECZY W POLSCE;

2. O WSKAZANIE METOD I REFORM, KTÓRE NALEŻAŁOBY WPROWADZIĆ DLA WYZWOLENIA MAKSYMALNEJ ENERGJI PAŃSTWA.

Byłoby niegodnem społeczeństwa o wysokiej kulturze dalej trwać w bezwładzie i oczekiwać narzucenia pomysłów, niestety, niebezinteresownych. Tylko ze starcia poglądów i z wielostronnego ujęcia problematu może powstać wskazówka — jeśli nie dla postanowień, to przynajmniej dla pragnień narodowych. Zlekceważyć takie pragnienia mogą tylko ci, którym zaślepienie lub egoizm przesłonił dobro teraźniejsze i przyszłe państwa.

Ponieważ ankieta obejmuje kwestje specjalne, przeto nie zwracamy się do wszystkich, lecz jedynie do tych, którzy w przeszłości dali dowody usilnej i pozytywnej pracy dla państwa. Rzecz prosta, pomijamy także sfery rządzące, ponieważ mają one sposobność odpowiedzieć na wszelkie pytania nie słowami, lecz czynami. Pragniemy zatem usłyszeć głosy ludzi zasłużonych, doświadczonych i specjalistów, stojących na uboczu. Zwracamy się do szefów stronnictw, mężów stanu, uczonych, polityków, ekonomistów, publicystów, działaczów społecznych.

Ankietę już rozpoczęliśmy w zeszłym numerze ODNOWY artykułem „O drogę wyjścia". Pragnęlibyśmy, aby ten sposób ujęcia sprawy i rozmiar pracy był wzorem dla łaskawie nadsyłanych nam opinji. Chodzi o wskazania na tyle zwięzłe i jasne, aby były dostępne dla najszerszego ogółu. Gdyby nawet nie znalazły się wśród odpowiedzi rozstrzygnięcia decydujące, to w każdym razie suma poglądów uczciwych, niezależnych, przemyślanych i obserwowanych w doświadczeniu będzie najlepszą miarą opinji całej Polski.

Poza niniejszą zapowiedzią, rozsyłamy zapraszające listy do osób, których zdanie może mieć szczególną wagę dla społeczeństwa.

REDAKCJA.

Raptularz tygodniowy

(CZY GÓRA URODZI MYSZ? — EMIGRACJA MAŁO WSPOMINANA. — ZAINTERESOWANIE MOWAMI — NOWI DZIENNIKARZE).

Taniec siedmiu szalów kończy się na naszych oczach. Bajadera, szalejąca w rytmie cudzoziemskim (bo że to nie krakowiak, ręczyć można słowem) zrzuciła jeszcze jedno okrycie i poczynają przeświecać polityczne kształty nowego zjawiska. Jechało więc pewne stronnictwo na swoim koniku i jechało długo i śmiało. Konik wbrew oczekiwaniom nie marniał, przeciwnie rósł w oczach i doszedł do pokaźnych rozmiarów. Można na nim podobno dość daleko zajechać. Przyszedł teraz ktoś od władzy i rzekł z całą bezwzględnością: „ależ ten konik, dobrzy ludzie, to mój, teraz ja na nim pojadę, a wy, jeśli chceta, przyczepcie się z tyłu". I już wsiadł na konika i już jedzie („jak pragnę wolności" — mówią w takich wypadkach na Czerniakowie). Wyobraźmy sobie minę dotychczasowych posiadaczy konika. Daleka jest od zachwytu, to pewna. Tak to „obóz" przeszedł do nacjonalizmu, wprowadził się pod namioty zdumionych antysemitów.

Był czas, kiedy obóz Piłsudczyków przedstawiał daleko idący program polityczny (tak przynajmniej o sobie mówiono). Istnieją całe książki, wyłuszczające poszczególne punkty programu federacyjnego, opartego na zasadzie współżycia narodowości od Bałtyku po Morze Czarne. Jakkolwiekby program taki traktować (szczególnie pod kątem widzenia aktualnej realności), miał on w sobie coś wyraźnego, coś, co miało zahaczać o jedno z największych przęseł naszej historji: o ideę jagiellońską. Jedno z największych swoich zwycięstw odnieśli polscy prawicowcy, unieszkodliwiając ten program w pierwszych latach istnienia odbudowanego państwa. A gdy obóz majowy doszedł do władzy, iluż polityków było zwalczanych, iluż ludzi od pracy państwowej odsuniętych za rzeczywiste czy rzekome niezrozumienie owej bazy programowej. Obecnie, panowie, nadeszła pora realizacji. Z idei jagiellońskiej wyjmuje się najcenniejszy klejnot: antysemityzm, a to celem tem zgodniejszej współpracy z tymi, których wytrawny program został obecnie — wypożyczony.

I trzeba naprawdę bardzo umiejętnych realizatorów, by fantastyczną, demokratyczną, federacyjną, opartą o jakiś związek wolnych ludów, Rzeczpospolitą usiłować przemienić z dnia na dzień na państwo zcentralizowane, rządzące się hierarchją kliki, bez faktycznej reprezentacji społeczestwa, ale powtarzające gładko za panią matką Niemcami pacierz totalizmu.

Polscy wykonawcy testamentów zyskują sławę. Przypomina się przysłowie niemieckie: die Toten reiten schnell.

*

Nieraz nawet w małej mieścinie przeczytać można afisz, wzywający do składania darów na rzecz Światowego Związku Polaków. Ta sprężystość w rozsyłce afiszów, którą chcielibyśmy uważać za dowód dobrej organizacji całości Związku, nie idzie w parze z dobrą obsługą informacyjną w sprawach naszej emigracji wogóle i w szczególe. Gdyby ktoś chciał się poinformować np., jakie pisma wychodzą wśród naszej emigracji, miałby dosyć ułatwione zadanie. Wystarczy przejrzeć wykaz wydawnictw... nie mających w Polsce debitu, a umieszczonych w urzędowym dzienniku M. S. W., a moglibyśmy ułożyć prawie kompletny spis czasopism, wydawanych przez naszą emigrację. Dziwnym bowiem trafem nasi emigranci, czy katolicy, czy socjaliści — czy oczywiście także komuniści nie mogą zadowolić wymagań, jakie stawia prasie emigracyjnej nasza cenzura. Jakie skutki pociąga za sobą taka praktyka i jak wygląda nasza znajomość nastrojów i stanu emigracji, zbyteczne dodawać. A dzieją się tam rzeczy przeróżne i nadzwyczajne. W każdym numerze „Siły", organu Związku Robotników Polskich we Francji, wyczytać można rewelacje, dotyczące zmienności i falowań nastrojów wśród mas emigracyjnych, o których to tylko n a p e w n o wiadomo, że idą w innym kierunku, aniżeli tego sobie w oficjalnych naszych kołach życzono. Dość powiedzieć, że naprzekór kilkuletnim staraniom Polski Związek Robotników we Francji znalazł się w szeregach Generalnej Konfederacji Pracy, a tem samem poddał się bardzo jednostronnym wpływom politycznym. Z Ameryki przychodzą nie wesołe wiadomości. Rezolucja polskich dziennikarzy z Nowego Jorku, zaklinająca polskich studentów, by zahamowali nieco ekscesy w szkołach akademickich, pochodziła zapewne z czystej troski patrjotycznej, ale także z obawy o los własny, o los robotników i pracowników polskich, na których skórze mogą odbić się młodzieńcze akcje w Warszawie i innych miastach uniwersyteckich. To była jednak tylko drobna illustracja bardzo znamiennych przemian, dokonywających się nieustannie w Stanach Zjednoczonych wśród młodszych Polaków, którzy biorą się do lokalnej i większej polityki i chcieliby widzieć w starym kraju, jeśli nie wzór do naśladowania, to w każdym razie źródło zachęty i koleżeństwa. Czy mogą to mieć? A jeśli nie mogą — kto będzie odpowiadał za straty moralne stąd wynikłe? Światowy Związek Polaków? Wojewoda Raczkiewicz? Czy tych dwóch, czy trzech oficerów, odkomenderowanych na ten odcinek, pod światłem kierownictwem p. Drymmera z M. S. Z.?

*

Na pogrzebie vicewojewody białostockiego Zgrzebniaka, wojewoda Grażyński wygłosił mowę, której treść była, jak doniosły dzienniki, przedmiotem démarche ambasadora Moltkego w Warszawie. Ambasador niezwłocznie udał się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i...? W tem sęk właśnie. Istnieją dwie dyplomatyczne ewentualności, albo „przedkłada się tekst mowy i żąda wyjaśnień", albo prosi się o treść mowy. Trudno sobie wyobrazić, aby ambasador miał tekst mowy, która jeszcze nie ukazała się w prasie, więc zapewne chciał się tylko dowiedzieć, co tam naprawdę było i — mógł „na wszelki wypadek" zabiegać, aby mowy prasa nie powtórzyła. Zdaje się, że moglibyśmy prosić naszych czytelników, aby sami zgadli, jaki był przebieg konwersacji. A przecież w sprawach polityki zagranicznej panuje w Polsce atmosfera głębokiej ciszy. W Niemczech przemawiają zaś nie tylko ministrowie i wybitni przywódcy partyjni, lecz także goście z Gdańska, pp. Forster i Greiser. Nasz ambasador w ostatnich czasach musiałby bywać chyba codziennie w urzędzie do spraw zagranicznych, gdyby chciał sumiennie wyjaśniać treść każdej mowy i okoliczności, w jakich je wypowiedziano. A tekstu nie potrzebowałby daleko szukać. Znalazłby go na naczelnem miejscu berlińskich dzienników.

*

Do wielu objawów upadku kultury, targanej wewnętrznemi sprzecznościami i poddanej gromadnym eksperymentom, należy jawny przetarg na przekonania, dokonywany w państwach o ustroju totalnym. Oczywiście, rysują się odcienie grubsze i cieńsze, zależnie od środowiska i postępów totalizmu. U nas mamy malutki przedsmak tych zabiegów. Zmienił się np. redaktor w „Kurjerze Porannym". Jeden akademik zastąpił drugiego. Ten drugi rozpoczął urzędowanie i dziennik z dnia na dzień począł pisać coś odwrotnego, niż dotąd. Mniejsza o to, co pisze, ale to przecież walny środek do moralnego zgniecenia prasy — takie koziołkowanie od jednej subwencji do drugiej. Ludzie, którzy czynią farsę z przekonań swoich i cudzych, nie mogą uchodzić za przyzwoitych w kulturalnem społeczeństwie. A w Warszawie czyni to członek Akademji Literatury z kilkoma swymi przyjaciółmi. Już znowu przysłużyła się akademja ogółowi. Nawet najmłodszy jej członek plecie dalsze ogniwo w łańcuchu jej fatalnych poczynań.

A p. Cat-Mackiewicz naurągał i nawymyślał w swych artykułach całemu szeregowi ludzi. Jedni mu odpowiadali nie mniej forsownie, drudzy natomiast wprost do sądu zaskarżyli. I teraz wlecze się ogon procesów jeden po drugim, wyrok po wyroku, apelacja po apelacji. Ktoś, dbający o poziom życia publicznego, mógłby z zaciekawieniem dopytywać się, o co tu chodzi, jakie idee są w grze i jakie odkrycia wyszły na jaw. Przy bliższem zbadaniu okazałoby się jednak, że ani jedno, ani drugie wydarzenie nie zaszło. Stało się natomiast coś innego. Ci dziennikarze wywołują sensację na gwałt, nawet tam, gdzie jej niema, dla utrzymania się w kursie, dla podtrzymania swego nazwiska na giełdzie nowości, a sensacyj istotnych niema przedewszystkiem dlatego, że p. Mackiewicz i jego koledzy uprawiają sensację we własnym obozie. Ich skandale są skandalami od wewnątrz. Ich rewelacje powstają przy koniaku we własnym klubie. I dlatego — wbrew poglądowi, jakoby ludziom, zdala od kliki stojącym, zależało na ujawnianiu jej skandalów — działalność tych publicystów jest działalnością intrygancką, obliczoną na porachunki, leżące w interesie drobnej grupy. W sumie przyczyniają się do dalszego obniżenia życia publicznego w Polsce i w tym też sensie zasługują z pewnością na pochwały swych mocodawców.

Tot.

Tylko ludy wolne posiadają historję godną uwagi. Historja ludów, żyjących pod jarzmem despotyzmu, jest jedynie zbieraniem anegdot.

Chamfort: „Maksymy i myśli" str. 66.

KSAWERY PRUSZYŃSKI.

Katolicyzm i socjalizm

(Możliwości porozumienia).

Z okazji niedawnego Listu Pasterskiego polskiego Episkopatu, znakomity krytyk lewicowy J. N. Miller wystąpił na łamach „Wiadomości Literackich" z rozważaniami na temat możliwości współżycia katolicyzmu i socjalizmu. Pozostawmy List Pasterski na dalszym planie niniejszych uwag; kwestja postawiona przez Pana Millera jest już sama w sobie kapitalnego znaczenia. Tezę, że zgodne pożycie katolicyzmu i socjalizmu jest w zasadzie najzupełniej możliwe, autor poparł szeregiem świadectw, których ilość moglibyśmy tutaj jeszcze powiększyć. Najniezawodniej, nawet słabe, nawet nieudane, nawet fałszywie postawione, takie próby współżycia ponawiają się w wielu krajach, ilość ich raczej rośnie. Polska, kraj o nader szerokim, choćby nawet i powierzchownym, zasięgu wpływów katolickich, jednocześnie kraj o tylu socjalnych zagadnieniach, może wydawać się predestynowanym do przeprowadzenia, bez oglądania się na przeszłość, takiej próby współżycia, w większej niż gdzieindziej skali. Czynniki, kierujące katolicyzmem i socjalizmem, mogłaby raczej taka próba zachęcać: czyż kto zaprzeczy, że w razie jej pomyślnego wyniku nie nabrałaby znaczenia sięgającego daleko poza granice jednego kraju, że mogłaby stanowić punkt zwrotny, ważny kamień milowy , znaczący drogę dziejową tak jednej jak i drugiej doktryny?

Piszący te słowa pragnie się zastrzec, że podnosząc zapytanie J. N. Millera nie kieruje się bynajmniej sympatjami do socjalizmu, zwłaszcza zaś do ustroju socjalistycznego. Moje ekonomiczno-społeczne sympatje są raczej po stronie własności prywatnej, oczywiście, unikając szkodliwych wynaturzeń (mam wrażenie, że dopiero człowiek posiadający jest człowiekiem wolnym politycznie, będąc niezależnym gospodarczo czy to od państwa i rządu, czy to od innych; raczej więc upowszechnienie, niż zniesienie własności; — że socjalizm łatwo może przejść w dyktaturę jednostki; że wreszcie kilka współczesnych prób budowy socjalizmu, czy przynajmniej wybitnego zsocjalizowania ustroju, dały za wynik bądź głębszy, niż gdzieindziej kryzys gospodarczy i krach ekonomiczny — Australja, Austrja, — bądź, jak w Rosji, stwarzając imponującą rozbudowę pewnych gałęzi przemysłu, nie dały krajowi ani wolności, ani częściowego choćby dobrobytu, łamiąc zresztą szereg najbardziej podstawowych zasad doktryny socjalistycznej; że socjalizm jest wciąż jeszcze w stadjum doświadczalności, a jednym z najniewątpliwszych pewników, jakie nam dały tak różne długotrwałe i kosztowne eksperymenty, jest pewnik, że wprowadzenie socjalizmu jako ustroju gospodarczego w pewnym kraju nie jest rzeczą łatwą, przeciwnie, bardzo trudnym społecznym zabiegiem. Oto w najgrubszym szkicu owe racje). Ale jeśli jestem zwolennikiem własności prywatnej, a jednocześnie katolikiem [1]), to jeszcze nie widzę w tem racji, by ktoś inny, zasadniczy jej przeciwnik, nie mógł podzielać ze mną przynajmniej mych religijnych i wierzeniowych przekonań. Byłoby dla mnie raczej kwestją wątpliwą, czy Kościół, który gromadzi ludzi niezależnie od ras etnicznych, klas społecznych, narodowości i płci, miałby stawiać barjery dla ludzi o pewnym typie poglądów socjalno - gospodarczych. To raczej nie tyle sympatje do socjalizmu jako ustroju, ile troska o pełny uniwersalizm mej religji, spowodowała niniejsze rozważania.

1.

Trzeba najpierw sięgnąć do czasów najostrzejszej, a zarazem początkowej, walki między katolicyzmem i socjalizmem, i trzeba sobie powiedzieć, czem były ó w c z e s n y socjalizm i ó w c z e s n y katolicyzm? Otóż, najniewątpliwiej socjalizm przedmarksowski i pomarksowski, socjalizm XIX wieku — wieku, którego właściwym kresem nie był rok 1900, ale raczej lata 1914—1918 — był p r z e d e w s z y s t k i e m pewnym ś w i a t o p o g l ą d e m, czemś stojącem na pograniczu nauk filozoficznych, społecznych i gospodarczych. Ludziom, którzy go wyznawali, dawał przedewszystkiem wyjaśnienie pewnych dziejowych procesów jak i pewnej im współczesnej rzeczywistości, kreśląc horyzonty przyszłości w zasadniczych, ale dość ogólnych i dalekich rzutach. Był to przedewszystkiem materjalizm dziejowy, a jego filjacje z Encyklopedystami i pozytywizmem, istotnie nie mogły ułatwiać, jak to słusznie podnosi J. N. Miller, pokojowego współżycia z doktryną tak od tych źródeł różną, jak katolicyzm.

Ów zaś katolicyzm XIX wieku — powiedzmy i to także — był to znowuż odmienny nieco od dzisiejszego katolicyzmu. Cały szereg poglądów z dziedziny ustrojowo - politycznej, socjalnej i gospodarczej należały do jego nieoficjalnych, ale praktycznie bardzo znaczących dogmatów. Dopiero z Leonem XIII — i to z jakim trudem! — począł dopuszczać możliwość istnienia innych, będących do przyjęcia form rządu, niż monarchja, i to monarchja legitymistyczna z Bożej łaski. Dopiero po Komunie Paryskiej i kilkudziesięciu latach istnienia w Europie kwestji robotniczej przyszły bardzo przecież ogólne i nierewolucyjne zasady Rerum Novarum. Katolicyzm XIX wieku z trudem odrywał się od współżycia z pewnemi formami polityczno - ustrojowemi, wykształconemi w ciągu poprzednich wieków, i z wielkim trudem dopuszczał możliwość istnienia innych. (Coprawda, na obronę ówczesnego Kościoła trzeba i to przypomnieć, że republiki owych czasów raczej przypominały dzisiejsze Sowiety lub Meksyk, niż obecną Republikę Francuską, a w monarchji „liberalno - konstytucyjnej" Izabelli II, palono kościoły i mordowano księży nie gorzej, niż w dzisiejszej Hiszpanji, co w każdym razie nie mogło zachęcać ani Piusa IX, ani kardynała Antonelli...).

II.

Takim był katolicyzm, takim był socjalizm owych czasów. Cóż oznacza dziś słowo „socjalizm" dla nas współczesnych, cóż oznacza dla mas robotniczych? Mam wrażenie, że treść tego słowa ulega pewnym przesunięciom, że z filozofji, z doktryny, z teorji i rozumienia dziejów, przeniosła się raczej ku praktyce, polityce, ustawodawstwu, prawu, ekonomji, programom politycznym rządów przyszłości. Dla nas socjalizm jest pewnym typem urządzeń ustrojowo - gospodarczych, jednym ze sposobów zorganizowania życia zbiorowego, który ma swoje dogodności i niedogodności, podobnie jak kapitalizm. Jeśli przyjmiemy socjalizm, to dziś już nie dlatego, że nas wzruszy czy porwie: dlatego, że nam się wyda praktyczniejszym, słuszniejszym, mniej szkody (bezrobocie, nadprodukcję, topienie kawy w morzu) wyrządzającym sposobem zorganizowania ludzkości. Jeśli go odrzucamy, czy ograniczamy, to także nie jako dzieło piekieł, ale jako zawodzący nasze praktyczne rachuby i nadzieje. Czem jest socjalizm dla mas robotniczych? Nie mam danych sądzenia za nie, ale zdaje się, że socjalizm dla dzisiejszych mas robotniczych, to również nie jest dawne, mgliste, ale bez chmur, nieokreślone, ale idealne, Eldorado wszelkiej szczęśliwości. Socjalizm to kwestia płac, umowy zbiorowe, ochrona pracy, płatne urlopy, emerytury robotnicze, kultura dla mas, odpowiadający ich społecznemu znaczeniu udział we władzy i rządzie — znowuż rzeczy zgoła nie mgliste, bardzo konkretne, bardzo realne. Każda z tych kwestyj może być oczywiście poddana dyskusji: można wyciągać przeciwko podwyżce płac czy umowie zbiorowej zarzuty mniej lub więcej słuszne, można je zwalczać, lub popierać. Sądzę jednak, że te zarzuty, podobnie jak i żądania, przeciwko którym się zwracają, należeć dziś będą jedynie do właściwej im dziedziny: spraw gospodarczych, politycznych, socjalnych. Widzę dobrze, jak można szermować kwestją niskich cen na zboże w dyskusji właściciela folwarku z robotnikiem folwarcznym o podwyżkę pensyj, — ale już zgoła nie widzę, co za rodzaj religijnego argumentu możnaby temu zadaniu przeciwstawić.

Ale jeśli socjalizm dzisiejszy, to co oznacza socjalizm dla wszystkich, odszedł od dziedzin, w których szybował przed wiekiem, gdy mniej w nim filozofji, wię-

[1]) Katolikiem jestem, niestety, tylko w najbardziej przeciętnem znaczeniu, bynajmniej *nie mogącym pretendować do tytułu ścisłego i konsekwentnego wyznawcy, cóż dopiero uprawnionego eksponenta nauki katolickiej czy katolickiej publicystyki*, reprezentanta, czegokolwiek innego poza sobą i własnemi poglądami.

cej polityki i prawa, mniej porządkowania przeszłości, więcej organizowania współczesności, mniej doktryny, więcej programu, to trzeba przyznać, że katolicyzm współczesny również wycofał się z wielu dawniej bardzo dla niego zasadniczych dziedzin. Dziedzice myśli hr. Chamborda znaleźli się w III Republice Arystydesa Brianda na indeksie kościelnym, i można śmiało powiedzieć, że kościół dzisiejszy woli pewne republiki od pewnych (nazwanych lub nienazwanych) monarchij, a ściślej, że go ta strona zagadnienia bardzo dziś mało obchodzi. Cały wysiłek Rzymu zestrzela się dziś wyłącznie koło zagadnień natury duchowej i religijnej, i tu ujrzymy go w walce z zeszłowiecznymi sojusznikami, jeśli zechcą mu to prawo, jak w dziedzinie wychowania młodzieży np., kontestować. Wysiłek ten wycofał się najzupełniej z dziedziny polityczno - ustrojowej, przejawia wycofywanie się z dziedziny społeczno - gospodarczej. Nawodwrót, znowuż można powiedzieć, że i socjalizm wycofał się pod niejednym względem z łożyska, którem płynął niegdyś, że popłynął ku innym zagadnieniom, innym horyzontom, tym właśnie, z których wycofał się i wycofuje Kościół, gdzie więc te dwie siły krzyżować się już nie będą. *(c. d. n.).*

Z 7 dni

W sferach politycznych krążą jeszcze niesprawdzone pogłoski, że wkrótce ma być powołany komitet do opracowania sposobów i znalezienia środków dla zdobycia szczerego zaufania społeczeństwa. Dobór komitetu jest staranny, a więc w jego skład wejdzie paru byłych premjerów, ministrów, wojewodów i działaczy społecznych. Przewodnictwo obejmuje jakoby p. Sławek, członkami zaś będą pp. Świtalski, Janusz Jędrzejewicz, Michałowski, Floyar - Rajchman, Miedziński, Kawecki, Józewski, Kostek-Biernacki, Kaden-Bandrowski, Waleron, Endelman i inni. Podobno enuncjacje p. Miedzińskiego właśnie są wynikiem przedwstępnych prac tego Komitetu Zaufania Publicznego.

Sądzimy, że dalsze ujawnienie działalności i składu Komitetu znacznie przyczyni się do wyjaśnienia sytuacji.

*

Sejm od czasu do czasu wykrztusi fakty i liczby zajmujące. Otóż, jak dowiedzieliśmy się, w okresie radosnej twórczości państwo przerabiało nieprawomyślnych urzędników na emerytów. Produkcja 10-letnia wyniosła z 20.262 do 77.711 emerytów. Obecny koszt utrzymania — 289 miljonów złotych. Oczywiście z powodu braku funduszów, przekreśla się rozmaite „prawa nabyte", jako że w wieku XX prawo znajduje się w kategorji przesądów. Doskonale. Ale czy to jest postępowanie roztropne? Bo przecież tych kilkadziesiąt tysięcy niezadowolonych gawędziło ze znajomymi, wytwarzało klimat odpowiedni, przyczyniło się do t. zw. dekompozycji? Ba, gdyby to niezadowolenie można było golić codziennie, jak brodę, to oblicze kraju byłoby gładkie, gentelmeńskie... Tymczasem tak nie jest, więc brody ich długie, kręcone wąsiska...

*

Związek Legjonistów Krakowskich wydaje czasopismo O l e a n d r y, gdzie czytamy, że „należałoby powrócić do wielkich i nigdy nie przestarzałych zasad demokratycznych, których pierwszym wyrazem musiałby być sejm powstały ze zmienionej w myśl tych-że zasad ordynacji wyborczej".

A my dotąd dziwiliśmy się, że tak dawno nie było zjazdu Legjonistów. Na końcu zagadka rozwiązana.

*

Ruch turystyczny w Polsce wzrasta. Teraz przyjechał premjer Goering na polowanie do Białowieży, wkrótce przyjedzie p. Greiser. Okazuje się, że można u nas zdobyć cenne trofea czekamy na Anglików i Francuzów.

Skargi, żale, demagogja

Ciężkie były dla państwa lata sejmokracji. Lada dygnitarz państwowy czy poprostu kontroler gazowego licznika, któremu akurat dokuczyło pożycie małżeńskie, nie był tego dnia w sosie. Nieostrożne słówko czy gest szły do gazet, potem do Sejmu, i gotowa awantura: minister miał wielkie przykrości, zaś winowajca łamał kark. W ministerstwach zaś, w województwach, w Izbach i urzędach tak się rzeczy rozwijały, że każdy wniosek i referat ostrożny szef przyjmował pytaniem, zali sprawa uzgodniona została z zainteresowanym prezesem klubu, komisji czy posłem.

Skończyła się sejmokracja i wahadło mocną i brutalną ręką rzucone odbyło prędko daleką drogę o całych 180°. Dziś bez przesady stwierdzić można, że takiż sam minister, wojewoda, nawet naczelnik czy starosta nie załatwi drobnej choćby kwestji bez zgody referenta, ponieważ tylko referent zna teren, ludzi, akty i przepisy, zawarte w iluś tam miljonach stronic Dz. U. P. Taki jest na odmianę obraz słabości silnego rządu.

Nikt na świecie nie będzie zazdrościł obywatelom Rzplitej biernego udziału w tym konstytucyjnym eksperymencie szkockiego prysznicu: raz wrząco, raz lodowato. Miał kontakty z rządem, była swawola klik, niema kontaktu z rządem, jest swawola biur. Szatan nie obmyśliłby lepszych sposobów uprzykrzenia Polakom współżycia i współpracy z własnem niepodległem państwem. Potwierdza się na tej historycznej sprawie stara i każdemu znana reguła marzeń ziszczonych: im silniej i namiętniej się czegoś pragnie i im piękniej o czem marzy, tem brutalniej się ze snu budzi. Z czasem i z pomocą rozsądku harmonizuje się sen różowy z surową rzeczywistością w znośny stan życia i zadowolenia. Tak też i u nas rozsądniejsi ludzie zastanawiają się, jak najlepiej będzie pogodzić dwa ekstremy i sharmonizować państwowe wymagania władzy wykonawczej z nieodzownym czynnikiem kontroli publicznej, którą stanowić ma parlament. Z wielu wewnętrznych zagadnień to jest dziś głównem i ma wszelkie znamiona historycznej kwestji doby dzisiejszej.

Częste rozjazdy i publiczne do urzędów odezwy i okólniki pana premjera zyskały sporą popularność i świadczą o tem, że szef rządu i masa obywateli zgodnie i trafnie oceniają grozę panoszącej się samowoli biurokratycznej. Na nic tu jednak najlepsze chęci. I pan premjer i my wszyscy przekonamy się bardzo prędko, że nawet herkulesowe siły nie starczą, albowiem kontaktu między rządem a społeczeństwem niema i nie będzie, dopóki głos tegoż nie ozwie się odpowiednim paragrafem prawa konstytucyjnego. Skarga moja i żal nie znajdą dziś drogi do pana premjera, ani nawet do pomniejszych jego doradców, wykonawców, informatorów. Skarga zawsze bowiem wpadnie na t. zw. drogę służbową i przybiera w tej długiej wędrówce kształt urzędowego aktu, na którym każda „instancja" ma prawo i obowiązek rozpisać się komentarzami faktycznemi i jurydycznemi. Z żywej krzywdy i skargi robi się papierek jeden z wielu, którego ani czas, ani siły fizyczne nie zmogą. Człek ciemny nie znajdzie do takiego czynu odwagi, zaś rozsądny obywatel nie zada sobie aż tyle beznadziejnego trudu. I wszystko pójdzie po staremu.

Człowiek z ulicy, zwłaszcza zaś ten przy gościńcu wiejskim, żywi silne przekonanie, że władza rządu, ktokolwiekby ją nadal i sprawował, jest w niewoli małego urzędnika. Im lepsze i szczególniejsze są fachowe jego znajomości, tem więcej ma on swobody i tem szersze zakusy arbitralności, bo mniej nadzoru i kontroli. To on, mały ale władny specjalista wymyśla i podsuwa nowe przepisy, dekrety, paragrafy, aby potem ich nietykalnym majestatem nas, u dołu, ścisnąć, zaś was u góry, zbić z tropu, przekonać i niewolić. On ustawy wymyśli, referuje, pisze i potem — wykonuje. Skarżyć się i pożalić — wówczas pokaże panu premjerowi dekret przez się zrobiony, przez rząd podpisany i ogłoszony, causa finita i kółko się zamknęło. Siła jego polega na tem, że raz jeszcze, po drugiej stronie, znów spotkała się władza wykonawcza z ustawodawczą.

Tak dzieje się w Polsce od lat sześciu conajmniej. Pewną nowość i odmianę wprowadza ostatnio nuta niespodziana — demagogji od góry. Urzędnik naczyta się odezw i mów swych kierowników i poczytuje sobie za obowiązek ich ideje i wzniosły ton wplatać w szarość swego urzędowania. Jeden wymierza nam podatek pod kątem widzenia równowagi budżetowej, tamten odmawia koncesji czy kontyngentu z racji wskazań obrony narodowej, wymierza się grzywnę w myśl potrzeb rozładowania bezrobocia i t. d., słowem, prócz nakazów i zakazów, wymiarów i orzeczeń obywatel otrzymać musi jako naddatek sporą porcję wskazań i kazań. Jeśli zważyć, że znakomita część tych celów i ideji figuruje co miesiąc na liście potrąceń z płacy urzędniczej, jasnem jest, że wzniosły patos miesza się tu z odrobiną osobistej goryczy i nadaje decyzjom władz dużo ostrych kantów.

Pewny jestem, że podczas wypadków swych spotkał pan premjer na poczesnem miejscu wyraz „bolączki". Słowo to brzydkie, pospolite, niemęskie, lecz szalenie dziś rozpowszechnione. Jest to, jak kraj długi i szeroki, najtypowszy teraz wyraz i forma życia publicznego. Ludzie na wsi i na prowincji schodzą się i gromadzą, aby rozpatrywać różne wspólne „bolączki". Całe delegacje jeżdżą do stolicy i miast wojewódzkich pod znakiem rozmaitych „bolączek". Prosimy, niechaj Pan Premjer pozbiera te wszystkie bolączki, które przywozi z swych rozjazdów, niech wrzuci je w jeden garnek i gotuje tak długo, aż wyparuje z nich wszystko co jest prywatą, głupotą, warcholstwem, fantazją i fanaberją. Pozostanie na dnie ziarno szczerej, złotej prawdy: czas jest ostatni przywrócić w państwie równowagę władz.

K. B.

Juljusz Żuławski

Anglja przed konferencją imperjalną

(KORESPONDENCJA WŁASNA).

Londyn, dn. 12 lutego 1937.

Z datą koronacji Jerzego VI-ego zbiegnie się, a raczej poprzedzi ją na krótko, inna data, równie ważna i — co najciekawsze — z tego samego punktu widzenia ważna dla Anglji — data Konferencji Imperjalnej.

Historja idzie naprzód, choćby była nawet historją Anglji. Choć przygotowania koronacyjne zapowiadają przepych, kolorowość i wspaniałość, równą wszystkim koronacjom poprzednim, choć uroczysta forma obecnej koronacji sięgnie tradycjami poprzez stulecia, aż ku czasom Plantagenetów i Tudorów — Imperjum Brytyjskie, jak wiadomo, nie jest już tem, czem było jeszcze nawet na początku stulecia obecnego. Podczas 25-cio letniego panowania Jerzego V-ego, stopniowe usamodzielnianie się Dominjów doprowadziło wkońcu do dzisiejszej, prawie zupełnej już niezależności ich od Rządu Brytyjskiego. Kanada, Południowa Afryka, Nowa Zelandja i Australja są już właściwie samodzielnemi państwami, z własną administracją, z własnemi Rządami, z własnemi Parlamentami.

W tej konjunkturze, sprawa koronacji nabiera dla nowoczesnej Anglji znaczenia zupełnie specjalnego. Akt ten, manifestując istnienie osoby króla, manifestuje, w dzisiejszym stanie rzeczy, istnienie zasadniczego i obecnie prawie już jedynego węzła, jaki łączy — rozrzucone po całym świecie — kraje Imperjum Brytyjskiego i między sobą, i z tą niewielką wyspą macierzystą.

Zdawałoby się, że jest to łączność w praktyce już niemal tylko symboliczna. Tak. ale wystarczy wiedzieć — z jakiem naprawdę niesłychanem, nie mającem przykładu u żadnego innego narodu, przywiązaniem, odnoszą się do swego „His Majesty" rozsypani po całej kuli ziemskiej brytyjczycy — aby docenić niewątpliwą konkretność i głębokość tej łączności. Wystarczy przypomnieć sobie chociażby, z jakim dramatycznym wprost niepokojem zachowywały się Dominja wobec niedawnego kryzysu, zakończonego abdykacją Edwarda VIII-ego.

Na sentymencie nieraz budowało się w historji politykę. A o Imperjum Brytyjskiem można raczej powiedzieć, że przechodzi może bardzo doniosłą dla całego świata i kultury ewolucję, niż że się wali.

Koronacja Jerzego VI-ego będzie pierwszą w tym stanie rzeczy, jaki został wytworzony przez usamodzielnienie się Dominjów. Jerzy VI będzie pierwszym królem, koronowanym nie jako Król Anglji z należącemi do niej Dominjami, ale jako król Anglji i król Dominjów. Jest to różnica bardzo zasadnicza. Dominja zażądały całkowitego uznania równości swych interesów w ramach Imperjum z interesami Kraju Macierzystego, i uzyskały to. I w tym właśnie duchu zreformowano obecnie Statut Westminsterski (statut określający stosunek krajów Imperjum do Korony) i treść odwiecznej formuły przysięgi królewskiej. Słowa: „... i z Dominjami do niej należącemi (...and the Dominions thereto belonging)" — nie będą już odtąd stosowane. Zmiana ta, która przechodzi w tej chwili proces ratyfikacji jej przez Parlamenty Dominjów, jest dla Anglji i Imperjum momentem historycznym. W rezultacie — każde z Dominjów z osobna złoży królowi ze swej strony wyznanie swojej lojalności, a Komisja Koronacyjna będzie się składać, poza angielską „Privy Council", pod przewodnictwem księcia Gloucester, z Premjerów Kanady, Południowej Afryki, Nowej Zelandji i Australji.

Siłą rzeczy, respektowanie Dominjów ze strony Anglji, w związku z koronacją, nigdy nie było tak wyraźne, jak teraz. Dość powiedzieć chociażby, że z powodu braku miejsc na specjalnych reprezentacyjnych trybunach — wobec żądań Dominjów — Szkocja naprzykład będzie miała tylko 15-tu oficjalnych delegatów na uroczystości koronacyjne, podczas gdy dla reprezentantów Dominjów, Indji i Kolonij rezerwuje się miejsc, ni mniej, ni więcej, tylko 85 tysięcy.

Jeżeli trzymiesięczny program uroczystości koronacyjnych Jerzego VI-ego, z całą swą wspaniałością tradycji, teatralnością i kolorowością — zapowiada nam, poprostu mówiąc, wielkie stylowe przedstawienie, to będzie w pierwszym rzędzie — wielkiem, o głęboko politycznem znaczeniu, przedstawieniem dla Dominjów.

Konferencja Imperjalna, która zbierze się w Londynie na krótko przed koronacją, będzie miała za zadanie uregulować wszystkie te sprawy, które wobec nowych form stosunków wewnętrznych Imperjum Brytyjskiego, muszą być uregulowane na zupełnie nowej płaszczyźnie.

Będą to właściwie dwie równoległe konferencje. „The Imperial Conference" — będzie konferencją Rządów, w której wezmą udział wszyscy Premjerzy i inni ministrowie Rządów Wielkiej Brytanji, Kanady, Południowej Afryki, Nowej Zelandji i Australji. „The Empire Parliamentary Conference" — będzie konferencją pomiędzy reprezentantami władz prawodawczych poszczególnych krajów Imperjum, „the Legislatures of the Empire", którzy będą gośćmi Parlamentu Westminsterskiego podczas koronacji, — i członkami „the Empire Parliamentary Association" Parlamentu angielskiego.

W szczególności, Parlamenty Dominjów będą reprezentowane przez delegacje, z jednym z Ministrów Gabinetu na czele (który następnie weźmie udział w „The Imperial Conference"), składające się z marszałków („Speakers"), leaderów opozycji i leaderów innych głównych partyj parlamentarnych. Delegacja z Indji, z członkiem Vicekrólewskiej Rady („the Viceroy's Council") na czele, składać się będzie z Prezydenta Rady Państwa („Council of State") i Zebrania Prawodawczego („the Legislative Assembly") oraz z leaderów głównych Partji tego Zebrania. Parlament Południowej Rodezji będzie reprezentowany przez Speakera. Oczekuje się także delegacji z Wolnego Państwa Irlandzkiego i z Parlamentu Irlandji Północnej. Również i te z Kolonij, które już do pewnego stopnia osiągnęły coś w rodzaju własnych pół-rządów i których ciała ustawodawcze należą do „The Empire Parliamentary Association", przyślą swoich reprezentantów. A więc z takich kolonij angielskich, jak Ceylon, Bermunda, Barbados, Bahamas, Jamaica, Mauritius.

Wiele spraw i zagadnień, bodajże najdonioślejszych obecnie dla Anglji, stoi przed obiema Konferencjami. Chociażby tak pierwszorzędna dzisiaj — niestety — sprawa, sprawa obrony...

„Musimy" — powiedział niedawno temu w swej przedmowie Sir Samuel Hoare, Pierwszy Lord Admiralicji, — „postawić wyraźne pytanie do zadecydowania Dominjom na Konferencji Imperjalnej — jak dalece przygotowane są one do współpracy z nami w dziedzinie organizacji obrony?" Siostrzane Państwa Imperjum, mówił dalej, są dość bogate, aby ponieść wraz z nami ciężar odpowiedzialności za to Imperjum. Ciężar większy dziś niż kiedykolwiek przedtem w czasie pokoju, ciężar, który obecnie spoczywa właściwie tylko na barkach Wielkiej Brytanji.

A gdy tak wypowiada się, ustami Sir Samuela, Rząd Angielski, ciekawem jest zestawić to z innem, równie wiele znaczącem zdarzeniem, a mianowicie z debatą w Kanadyjskiej Izbie Gmin, która miała miejsce akurat w tym samym właśnie dniu. Wnioski wyciągnąć z niej można było narazie raczej pocieszające dla przyszłości Imperjum Brytyjskiego. Gdy bowiem Mr. Woodsworth, leader „the Cooperative Commonwealth Federation" zanegował zdecydowanie kwestji neutralności Kanady na wypadek nowej wojny europejskiej, w czem poparty został przez Francuzów kanadyjskich i innych izolacjonistów — Rząd Kanadyjski oparł się stanowczo dopuszczeniu do takiej rezolucji, nazywając ją, przez usta jednego ze swych leaderów, projektem destrukcyjnym, który mógłby być zrozumiany przez świat, jako oficjalne odłączenie się Kanady od „the British Commonwealth", a nawet jako wystąpienie z Ligi Narodów. Projekt rezolucji został odrzucony bez głosowania.

A jednak, mimo takiej zdecydowanej postawy Rządu Kanadyjskiego, mowa Sir Emanuela Hoare narobiła temu Rządowi wiele kłopotu. Już bowiem w dwa dni później, gdy Parlament w Ottawie musiał zareagować na tę mowę powtórną debatą nad stosunkiem Kanady do Metropolji — potępiono ogólnie plan wspólnej obrony Imperjum z równym udziałem w kosztach każdego z Dominjów. Słowa Pierwszego Lorda Admiralicji na temat niedołężności lokalnych schematów obronnych wywołały oburzenie. Rozgoryczony Rząd oświadczył, że mowa tego rodzaju da tylko impuls do żywszej akcji tym, którzy dążą do przeprowadzenia deklaracji o neutralności.

A chodzi poprostu o to, że lojalność lojalnością, i unia unią, — ale płacić za to Dominja nie chcą.

Takie to i inne sprawy oczekują Konferencję Imperjalną i Konferencję Parlamentarną Imperjum — na barwnem tle udekorowanego Londynu i na tle średniowiecznych strojów orszaku koronacyjnego. Wobec całego dzisiejszego splotu i gmatwaniny problemów światowych — można sobie wyobrazić, ile wagi przywiązuje Anglja do wyników tych Konferencyj. I ile wysiłków zużyje, aby wyjść z nich, z całą swą obecną, zmodyfikowaną ideą imperjalną, zwycięsko.

Kronika zagraniczna

POGŁOSKI O GDAŃSKU.

W prasie francuskiej pojawiły się pogłoski o zamierzonej przez Rzeszę „likwidacji" (termin ministra Goebbelsa) sprawy gdańskiej drogą — porozumienia z Polską. Gdańsk miałby wrócić do Niemiec, za co Polska otrzymałaby uprawnienia do korzystania z portu, już jako portu niemieckiego, dobrowolne uznanie przynależności do Polski „korytarza" pomorskiego i jakieś, bliżej nieokreślone, korzyści na polskim Górnym Śląsku, zapewne w związku z wygaśnięciem konwencji genewskiej lub likwidacją niemieckiego stanu posiadania. Negocjatorem miałby być premjer Goering w czasie polowania w puszczy białowieskiej. Pogłoskom tym w Berlinie zaprzeczono z furją, wypraszając sobie mieszanie się do — stosunków polsko - niemieckich i oskarżając o te pogłoski — propagandę sowiecką. Ale równocześnie nie wstrzymano wcale akcji, którą pod hasłem „zurück zum Reich"! rozpętano i w Niemczech i w Gdańsku po sukcesach ostatniej sesji genewskiej. I w Gdańsku nadal fabrykuje się kwalifikowaną większość, potrzebną do zmiany konstytucji, drogą unieważniania mandatów posłów opozycyjnych na zasadzie bezprawnego i sprzecznego z konstytucją rozporządzenia Senatu. Zaprzeczenia dotyczą więc formy — nie prostują faktów. Forma negocjacji, handlu zamiennego, jest oczywiście nie do pomyślenia. Chyba nikt w Polsce nie ośmieliłby się negocjować takiej transakcji, wobec której opinja publiczna byłaby nieubłagana. Ale sprawy gdańskie wymagają nadal najbaczniejszej uwagi. Przepłynąwszy, przy czynnej pomocy oficjalnej polityki polskiej, przez niebezpieczną rafę genewską, Senat Wolnego Miasta steruje wyraźnie nadal w kierunku — powrotu do Rzeszy. Czyni to tem śmielej i wyraźniej, im bardziej nabiera przeświadczenia, że ze strony polskiej nie grozi mu żadna energiczniejsza akcja. Pogłoski paryskie zapewne nie odpowiadają prawdzie. Ale są ostrzeżeniem, które oby wczas było zrozumiane!

ZBROJENIA ANGIELSKIE.

Jedyne to chyba zbrojenia, które z uczuciem ulgi przyjęli najwięksi zwolennicy pokoju. Bo nikt nie podejrzewa Anglji o zamiary zaborcze, natomiast potęga Anglji jest naj-

ASPER.

Litwa na rozdrożu

I.

Od lat bezmała dwudziestu jesteśmy świadkami kształtowania się państwowości oraz kultury państw nadbałtyckich. Nie mówiąc o Finlandji, której rozwój datuje się od czasów rosyjskich, patrzymy na Estonję, jako na naszego wiernego sprzymierzeńca, na Łotwę, jako na rezultat nacjonalistycznego ruchu Ulmanisa. Nie możemy nie dostrzegać Litwy, zwłaszcza, że oglądamy ją z pod Oran, czy Druskienik przez wierzby graniczne... Nie możemy w większości wypadków przeniknąć w głąb tego tajemniczego lądu, gdyż Litwa zamknęła się rozmyślnie na cztery spusty, przynajmniej — od naszej strony. Dlatego to zapewne nie mamy należytego pojęcia o biegu spraw politycznych i kulturalnych.

O ile Łotwa czy Estonja mają już *własną linję*, własny, ściśle określony cel dążeń, o tyle tajemnicze państwo litewskie, niby „okręt widmo" unosi się wciąż jeszcze miotane przez wiatry, z czterech stron świata idąc. Spróbujmy przyjrzeć się tej „pełnej niezwykłego uporu walce z żywiołem, najbardziej dla trwałej egzystencji państwa niebezpiecznym. Właściwe oblicze Litwy czas już najwyższy odsłonić.

Pisano bardzo wiele o wpływach niemieckich na Litwie. Sprawa Kłajpedy podkreśliła jeszcze mocniej pozorne germanofilstwo litewskie. Czytając komunikaty pisane z tego okresu, wynosi się wrażenie, że Litwa jest conajmniej uzależnioną od Trzeciej Rzeszy. Jeśli się przyjrzeć tym sprawom na miejscu, widzi się, że germanofilstwo litewskie należy już do przeszłości. Przyszło ono przed laty kilkunastu jako rezultat wpływów uniwersyteckich i ogarnęło ówczesną młodzież. Wiedza berlińska zaimponowała Litwinom, którzy uważali ją za szczyt doskonałości. Sprowadzano więc dzieła naukowe wyłącznie z Niemiec, kultywowano muzykę i malarstwo niemieckie.

Ale fala ta przeminęła bardzo szybko. Po pierwsze ślady okupacji wojennej dawały się w pierwszych latach niepodległości odczuwać na każdym kroku. Okupanci zrujnowali rolnictwo i handel, wywieźli z Litwy tysiące ton zboża, pokładów i metali. Sprawa Kłajpedy otworzyła oczy politykom kowieńskim. Były chwile, kiedy dalsze istnienie dostępu do morza przez port powyższy wisiało dosłownie na włosku... Kowno zrozumiało w porę niebezpieczeństwo, idące od Rzeszy niemieckiej, a społeczeństwo odwróciło się, przynajmniej na razie, od wpływów z Berlina.

Jednocześnie powiały silniej wiatry wschodnie — mam tu na myśli wpływy rosyjskie, o wiele dla Litwy niebezpieczniejsze. Pamiętamy o tem, że starsze pokolenie, wychowane w uniwersytetach Moskwy i Petersburga, znoszące przez sto lat z okładem rządy zaborców, zwolna podlegało zruszczeniu. W tych warunkach proces wynaradawiania się postępował szybko. Dodajmy do tego kult dla literatury rosyskiej, nietylko romantycznej, ale i nowoczesnej — z pokolenia Dostojewskiego wyrosłej, oraz energiczną propagandę komunistyczną z lat ostatnich, a przekonamy się łatwo, że niebezpieczeństwo rosyjskie było, kto wie, czy nie bardziej dla Litwy groźne, niż germanofilstwo. Pamiętam dobrze, jak w ostatnich latach przed wojną młodzież akademicka, na wywczasach wolała zaczytywać się w piśmiennictwie rosyjskiem, niż sięgnąć po książkę polską. Wielu z nich mówiło mi wręcz, że nie mogąc się podawać za Litwinów, wolą się uważać za Rosjan, niż — za Polaków. Działały już naówczas ośrodki rusyfikacyjne, z któremi współdziałali bona fide księża - litwomani, rozrzuceni po parafjach całego kraju. Z chwilą uzyskania niepodległości, Litwa odżegnywa się od zastarzałych wpływów rosyjskich. Mówi się o tem oficjalnie. Ale w rozmowach z przedstawicielami starszego pokolenia widzi się jasno, że wykorzenić to, co istniało na Litwie od rozbiorów, nie jest rzeczą ani łatwą, ani wykonalną w przeciągu lat dwudziestu. O ile jednak o tych sprawach mówić można z Litwinem objektywnie, o tyle najbłahsza aluzja do wpływów polskich spotyka się z fanatyzmem. Bo tych wpływów, najbardziej w istocie rzeczy Litwę pociągających, boi się Kowno, jak ognia. Posłuchajmy tylko wywodów, jakie mi podał jeden z bezsprzecznie rozumnych pisarzów kowieńskich, Kielinotis. Człowiek ten miał odwagę powiedzieć, że zamknięcie granicy w stronę Polski jest dobrodziejstwem (!), że ono to spowoduje za lat dziesięć, czy dwadzieścia *absolutnie oryginalną* twórczość litewską. Kielinotis, o ile mogłem sądzić, orjentuje się doskonale w literaturze naszej. Twierdzi on, że na ogół nie rozumieliśmy litewskich dążeń i prac niepodległościowych, kierowanych po r. 1905 przez takie organizacje tajne, jak „Auszra" czy też „Viltis". Ma za złe Sienkiewiczowi, że wprowadzone przezeń postaci Kmiciców, czy Podbipiętów dyskredytowały Litwę. Uznaje wspólność takich postaci jak Mickiewicz i bohaterów narodowych, jak Tadeusz Kościuszko. Tu muszę zacytować syntezę wywodów Kielinotisa, gdyż za niemi kryje się poważny odłam społeczeństwa. Jest on zdania, że „wpływy polskie nie rzucają się w oczy tak wyraźnie, jak niemieckie i rosyjskie, ponieważ kultura polska, podobnie do litewskiej, jest w zasadzie — łacińską. Z temi wpływami — zżyto się jakoś w ciągu stuleci. Kielinotis twierdzi z uporem, że... gdyby nie Wilno, stosunki litewsko - polskie ułożyłyby się normalnie, ale jak zaznaczyłem, — z zadowoleniem stwierdza, że właśnie *dzięki temu konfliktowi* — Litwa uwolni się na przyszłość od promieniowania potężnej kultury polskiej.

Zapytywałem ludzi tego pokroju, co Kielinotis, jaka właściwie jest *linja* kulturalna, jakie dążenia nazwaćby można — *litewskiemi*. Spotykałem się z odpowiedzią dosyć mętną, jeśli nie wymijającą. Bo nie mogę sobie wyobrazić słuszności powtarzanej z uporem tezy o odżegnaniu się od wszystkich zdobyczy kulturalnych całego świata. Znam bogatą mitologję litewską, wiem że posiada ona przebogaty folklor muzyczny w postaci „dajn" nigdzie w tej ilości nie spotykanych. Na rozstajach dróg litewskich podziwiam tysiące w drzewie rzeźbionych krzyżów — istne arcydzieła wiejskich, bezimiennych snycerzy. Ale obok tego złoża naturalnego nie sposób jest przekreślić wpływów kulturalnych z zewnątrz, bez których nie ostoi się żadną miarą rozwój twórczości na poziomie europejskim.

To też apel do społeczeństwa litewskiego, aby „z popiołów i pieśni ludowych odgrzebać ducha narodu i tym duchem przepoić wszystkie dziedziny jego twórczego życia", wydaje mi się przy jednoczesnem dążeniu do izolacji — niewątpliwie zgrabnym, ale i czczym frazesem.

Apel ten, rozbrzmiewający ostatnio na łamach bojowego organu litewskiej młodzieży narodowej, „Naujoji Romuva", pociągnął jednak swą fascynującą treścią tysiące młodych akademików, zgrupowanych na kowieńskiej wszechnicy im. Witolda.

Jak będzie wyglądała ta rzekomo ultralitewska twórczość — trudno przewidzieć. Na razie można i należy poznać poprzednie jej etapy, te właśnie, które kształtowały się w ścisłej zależności od wpływów kulturalnych ze Wschodu i Zachodu.

Litwa jest na rozdrożu. Nie umie, czy nie chce obrać sobie wyraźnej drogi pod żadnym względem. Spogląda trwożliwie dookoła i nasłuchuje, co jej przynoszą okoliczne wiatry. Serce jej bije ostatnio arytmicznie na myśl o tragicznej możliwości rozegrania się konfliktu niemiecko - sowieckiego na jej terytorjum. Tę obawę wyczuwa się w rozmowie z leaderami życia politycznego, jako jej motyw przewodni.

Legenda ma swoją wymowę. „Okręt widmo", bez steru wpośród odmętów — oto zdaniem mojem — symbol współczesnej Litwy.

---

lepszą gwarancją utrzymania pokoju. Jedyne pytanie, które w tym związku niepokoi świat, to pytanie, czy nie za późno, czy Anglja na czas będzie gotowa, czy nie zaskoczą jej jeszcze nieprzygotowanej jakieś nowe niespodzianki? Bo w miarę postępu gigantycznych zbrojeń angielskich niebezpieczeństwo wojny będzie maleć. Każdy napastnik wzdrygnie się na myśl, że może mieć przeciw sobie całą potęgę angielską, potęgę nie improwizowaną, jak w czasie wielkiej wojny, ale zgóry przygotowaną i olbrzymim nakładem środków i pracy, na jaki stać ten wielki naród, podniesioną na najwyższy stopień doskonałości. Ta potęga, mając zapewnioną pomoc Stanów Zjednoczonych i współpracę z Francją, będzie mogła uniemożliwić każdą napaść. Byle tylko stanowisko swoje określiła jasno i niedwuznacznie.

IZA MOSZCZEŃSKA.

Lud i masa

Przed laty zdarzyło mi się raz rozmawiać w cztery oczy, a spokojnie i szczerze, z przywódcą politycznym stronnictwa, które w owym czasie stało po przeciwnej stronie barykady, rozgraniczającej jego i moich sojuszników. Z takiej rozmowy, która nie jest dyskusją, obliczoną na rezonans galerji, można się nieraz czegoś pożytecznego nauczyć. Przyznał on, że w obozie, z którym ja się solidaryzowałam, były indywidualności wiele wybitniejsze, więcej talentów, więcej głów uzdolnionych. „U nas — powiedział — była stosunkowo poprostu szarzyzna. Ale mnie też o to właśnie chodziło. Zależało mi na tem, żeby organizować instynkty szerokich mas." Przekonałam się nieraz, że tę drogę obierają stale ci, dla których akcja polityczna jest poprostu środkiem do osiągnięcia władzy. Mniejsza o to, kto za nimi idzie, byle to był gęsty tłum. Dokąd idą i poco — o tem wiedzą ci, co ich prowadzą.

Czasem jednak i oni nie wiedzą; czasem ten bezmyślny a ufny tłum sam ich popchnie tam, dokąd się wcale nie wybierali. Mylą się także niekiedy, licząc, że nieprzejrzany tłum sam przez się stanowi siłę, a więc podporę silnej władzy. Instynkty popychają do odruchów — nie do czynów świadomych i celowych. Zależą zresztą i od okoliczności ubocznych, nad któremi panować jest trudno. Czasem są jak wzburzona fala, która kipi i pryska na wszystkie strony, czasem opadają, wsiąkają, tworzą mielizny i błota.

Walka polityczna, posługująca się grą instynktów, niekiedy kończy się tem, że prądy początkowo bardzo silne stają się czynnikami zastoju, nieuleczalnego marazmu. Pamiętam, jak wyglądało oblicze „czerwonej Warszawy", gdy w nią uderzyła pierwsza fala rewolucyjna w 1905 roku. „Ludu gniew" kipiał; czerwone sztandary kwitły jak maki polne w zbożu, a za każdym z nich snuły się tłumy. Wyraz „proletarjat" był synonimem potęgi, która świat przeobrazi, a kto przemawiał imieniem tego nowo powołanego majestatu, z góry i wielce nienawistnie lub protekcjonalnie odnosił się do inteligencji, która będąc z natury rzeczy bezsilna, bo nieliczna, winna zginać kolana i pokornie służyć zwiastunom nowej ery. Ten pęd ogarniał całą ulicę; nawet chłopcy po zaułkach i podwórzach naśladowali dorosłych w swych zabawach. Każdy nosił w kieszeni jakiś czerwony szmatek, który zatykał na kiju (gdy policjant był daleko) i zwoływał rówieśników na wiec. Zapytany, o czem będzie mowa na tym wiecu, wyjaśnił mi: „Co kto chce, może mówić, byleby było na końcu", „precz!" i „śmierć!"

Ani wśród tych gromadek uliczników, ani wśród dorosłych, na których się wzorowano przynajmniej w naszem polskiem środowisku, instynkty krwiożercze nie wybujały i nie ujawniały się nawet w „czerwonej Warszawie". Obrazek ten charakteryzuje raczej taktykę demagogów ulicznych, podobną we wszystkich krajach. Mobilizuje się niezadowolonych i wskazuje się im winowajcę lub winowajców tego stanu rzeczy, który ich skazuje na te lub inne cierpienia. Aż śmiech bierze, gdy się przypomni, że w owym czasie u nas w Polsce (jak w innych krajach) ten obarczony wszystkiemi winami czynnik, to była burżuazja. Nazwa zupełnie równie niezrozumiała wtedy dla ulicy warszawskiej, jak również obcego pochodzenia wyraz proletarjat. Szczyt komizmu stanowiło to, że imieniem proletarjatu piorunowali na burżuazję nieraz młodzi żydzi i to ze sfer zamożnych, jako że w tej grupie społecznej istotnych przedstawicieli proletarjatu, to jest zatrudnionych najemną pracą fizyczną, był równie mały procent, jak wśród ludności polskiej kapitalistów, tj.: bogatego mieszczaństwa. Ale masy są bezkrytyczne; dlatego jest tak łatwo je mobilizować. Może wynik byłby taki sam albo jeszcze obfitszy, gdyby zamiast „precz" wołać burżuazji, ktoś rzucił hasło „precz z żydami". Ale na szczęście nikt takich okrzyków nie zaintonował.

Najpospolitszy, najpowszechniej zakorzeniony instynkt samozachowawczy może bardzo skutecznie mobilizować masy. Każdy rząd despotyczny ma je na zawołanie, gdy w nich wzbudzi wiarę, że kto chce żyć spokojnie i bezpiecznie, robi, mówi, i nawet krzyczy głośno to, co każą, a kto chce się wyróżniać lub — co gorzej przeciwstawiać — ryzykuje, że te indywidualne zachcianki może przypłacić głową lub czemś równie niezbędnem. Wytwarza się owczy pęd, który staje się najpowszechniejszą podnietą nawet i tam, gdzie żadna tragiczna groza nie działa. Może to być nawet poprostu masowe zbiegowisko do pełnego żłobu.

Taka demagogja jest jednak poprostu krótkowzroczna i samobójcza dla władz, które się nią posługują. Bowiem im więcej ściągnie zwolenników i entuzjastów, tem szybciej żłób się opróżni, a ktoby miał sam pokrywać koszty utrzymania swych wszystkich wielbicieli i zwolenników, choćby stał na czele najbogatszego państwa, długo nie wytrzyma następstw swego sukcesu. Akcja pomocnicza dla tej metody jest budzenie entuzjazmu hasłami, widowiskami, świętami, organizowanemi na wielką skalę, wedle starej recepty, „panem et circenses." Im mniej zostaje „panem", tem silniej organizuje się „circenses". Przyjrzyjmy też, co się dzieje we wszystkich państwach współczesnych, rządzonych „totalnie". Ciągle jakieś święta, uroczyste rocznice kilkuletnich reform lub przewrotów święconych zjazdami, na które koleje zwożą uczestników darmo. Już to samo tłumaczy tłumny udział gości, zwłaszcza tam, gdzie wciąż wzmagająca się nędza zmusza ludność do pieszych wędrówek, czasem bardzo dalekich i uciążliwych, gdy chodzi jej naprawdę o załatwienie ważnych, ale czysto osobistych interesów. I na tę taktykę polityczną wynaleziono u nas formułę, publicznie głoszoną na jednem z pierwszych posiedzeń obecnego sejmu, przez działacza, który miał specjalnie objąć resort propagandy: „Trzeba organizować wyobraźnię". Jednakże okazało się, że ludzie dorośli samą wyobraźnią żyć nie mogą.

W ostatecznym wyniku okazuje się, że ci, co chcą na powyżej scharakteryzowanych drogach stworzyć szeroką podstawę dla silnego rządu, do szeroko i na dalszą metę obliczonych planów organizowania czy reorganizowania kraju, muszą wciąż zamykać się w zaczarowanych pałacach własnej wyobraźni. W rzeczywistości nie są w stanie osiągnąć nic. Masy rekrutowane i mobilizowane w ten sposób nie stanowią i nie mogą stanowić żadnej siły — w szczególności siły żywotnej i twórczej, bo póki chodzi o destrukcję „ruin i popiołów", mogą przysporzyć wiele. A jednak „jest wiele sił w narodzie"; to się ujawniło nieraz w naszej historji — dawniejszej i nowszej. Aby je zmobilizować, nie starczy jednak hasło albo godło, a tem bardziej, jeśli to jest — jak bywa dziś nieraz — hasło polityczne lub tłumaczone, ale trzeba określić cel wyraźny, rozumnie uzasadniony, wskazać do niego drogę, nie pomijając przeszkód do zwalczenia, zatorów do ominięcia, zespolić siły żywe i świadome, które do osiągnięcia go szczecze i wytrwale dążą. Tego nie dokona ani jeden, ani dziesięciu ludzi. Jeśli powiedziano, że wiele jest sił w narodzie, to nie należy sobie wyobrażać, że tkwią one tylko w pięściach, w piętach i gardłach, które jednogłośnie krzyczą.

Siły te mieszczą się w głowach, sercach i charakterach. Zbyt często wytykano jako ujemną stronę polskiej natury, że u nas „co głowa to rozum". O! jakże dziecinny optymizm odbija się w tej sentencji! Procent rozumów na miljony głów obywateli Rzeczypospolitej nie jest tak olśniewająco wielki, by wolno było lekceważyć którykolwiek z tych, które się ujawniły i zdały życiowy egzamin. Natomiast przekonaliśmy się, jak drogo nas kosztowało dziecinne złudzenie, że kilka lub kilkanaście głów powołanych doraźnie — może z dobrym skutkiem myśleć za 30 miljonów. Nieuniknione wyjałowienie zaznaczało się katastrofalnie po krótkiej próbie i mściło się na kraju, który z wygodą, leniwą bezmyślnością pocieszał się, że „jakoś to będzie".

Jeśli państwo ma być silne i trwale zbudowane, fundamentem jego nie może być sypka, sproszkowana masa lecz żywy głębokiemi korzeniami tkwiący w glebie ojczystej lud, z pokolenia na pokolenie rosnący wzwyż i ku słońcu przyszłości.

Każdy, kto spróbuje stworzyć silną władzę, winien pamiętać sentencję Lafayetta: „On ne s'appuie, que sur ce qui résiste."

Pamiętniki B. Limanowskiego

Świeżo wyszły z druku pamiętniki Bolesława Limanowskiego, wielkiego patrjoty, zesłańca w głąb Rosji za zorganizowanie manifestacji w Wilnie w r. 1861, jednego z pierwszych badaczy dziejów porozbiorowych Polski i działacza politycznego, który, zawsze łącząc w sobie dążenie niepodległościowe z radykalizmem społecznym, znalazł się, już jako człowiek starszy, w obozie P. P. S.

Pamiętniki nasamprzód obejmują lata od urodzenia do wyjazdu na stały pobyt zagranicę (1835 — 1870); dzieciństwo więc spędzone na wsi, w majątku rodzinnym, w powiecie dynaburskim nad Dźwiną, lata nauki gimnazjalnej w Moskwie (1847 — 1854), lata uniwersyteckie, spędzone częściowo w Moskwie, częściowo w Dorpacie, potem kilkumiesięczny pobyt w Leodium i Paryżu z zamiarem odbycia studjów wojskowych dla przygotowania się do powstania, i powrót do kraju, w celu zorganizowania w Wilnie manifestacji, na wzór warszawski, i obudzenia nastrojów patrjotycznych.

W związku z tem Limanowski został aresztowany i zesłany do Archangielska, a stamtąd przewieziony etapem do Pawłowska. Opis tych lat, spędzonych na zesłaniu (1862 — 1867) należy do najbardziej zajmujących w pamiętniku. Po powrocie z wygnania następuje pobyt w Warszawie i na wsi w Lubelskiem, wreszcie wyjazd zagranicę.

Żywość umysłu i rozległość zainteresowań cechują Limanowskiego. Jeszcze na uniwersytecie, słuchając wykładów fizjologji, wpadł na myśl, że, podobnie jak się studjuje fizjologję człowieka, możnaby studjować fizjologję społeczeństwa, biorąc rodzinę w społeczeństwie za odpowiednik komórki w organizmie. Dopiero na wygnaniu, czytając jakiś rosyjski miesięcznik naukowy, „z żalem" się dowiedział, że nie będzie założycielem nowej nauki, nauka ta bowiem istnieje i jest nią socjologja. Niemniej z wielkim zapałem zbierał materjały do prac socjologicznych. Na podstawie spisu ludności badał stosunki ludnościowe w Archangielsku i do notatnika wpisywał swoje spostrzeżenia i rozmowy z ludnością tubylczą. Nawet jadąc etapem przez Rosję nie ustawał w pracy. Napotkawszy Karelów i mając czas pewien Karela na swoim wózku, informował się u niego o zwyczajach tego ludu fińskiego i nawet sporządził słowniczek Karelski.

Pod względem zainteresowań folklorystycznych i filologicznych stanął więc Limanowski w rzędzie tych naszych zesłańców, którzy prowadzili studja nad ludnością głębokiej Rosji, Syberji i Sachalinu. Już Humbold interesował się rezultatami tych studjów, z których wiele jest rozproszonych po różnych, polskich i rosyjskich, miesięcznikach naukowych. Gdyby artykuły te i notatki naszych zesłańców zebrać, naukowo oświetlić i wydać, możeby się okazało, że Polacy nie mniej są zasłużeni w dziedzinie prac naukowych nad ludnością dalekiego wschodu i północy, niż Francuzi w egiptologji, a Niemcy w badaniu starożytności hinduskich. Możeby wtedy również gramatyka języka Ajnosów, ułożona przez Bronisława Piłsudskiego, znalazła dla siebie należyte miejsce, a także notatki Limanowskiego, których zresztą duża część zaginęła. Im trudniejszy dla uczonych europejskich jest pobyt w dalekich krajach Rosji, tem większą wartość mają materjały nagromadzone przez naszych wygnańców.

Z przedmowy dr. Adama Próchnika dowiadujemy się, że Bolesław Limanowski pisał Pamiętniki w Krakowie w latach 1912 — 1918, a więc, gdy dobiegał lat osiemdziesięciu i gdy je przekroczył. Wiemy, że posługiwał się notatkami autobiograficznemi, napisanemi znacznie wcześniej; nie zmniejsza to naszego podziwu dla żywości pióra tak sędziwego pisarza. Przecież tyle lat upłynęło od wypadków, które opisywał! Pisząc np. o dziejach swego wygnania, musiał cofać się myślą o pięćdziesiąt lat wstecz. Dużo mamy pamiętników ludzi starych. Mogą stanowić one materjał dla studjum psychologicznego na temat: jak człowiek, który już stoi na granicy wieczności, widzi sam siebie i swoją przeszłość?

Widzi ją inaczej, niż człowiek młody, bardzo często jakby przesuwającą się na filmie, dwuwymiarową. Znajome twarze mijają się jedna po drugiej, znajomi, dawno zmarli ludzie, powtarzają gesty, uczynione przed laty. Z głębin pamięci wypełzają jakieś dawne sprawy, tak oderwane od tła życiowego, że skrystalizować się mogą tylko w anegdocie. Stare urazy rozjątrzają się w jakiś sztuczny sposób, lecz wspomnieniom brak tej barwy i tego smaku, jaki musiało mieć życie ubiegłe.

Nie możemy zaprzeczyć, aby, mimo niezwykłej żywości stylu, część wspomnień Limanowskiego nie miała tych cech, lecz dotyczy to tylko wspomnień obojętnych. Inne budzą się w pamięci z całą świeżością wzruszeń, które im towarzyszyły. Weźmy jako przykład trzy momenty z życia Limanowskiego. Pierwszym będzie przebieg manifestacji w kościele wileńskim w dn. 8 maja 1861 r. Kościół przepełniony, przed kościołem pełno ludu, wozów, ekwipaży. Organy zaczynają grać, młodzież intonuje głośno: Boże coś Polskę. Zdumienie, zalęknienie, rozrzewnienie, ale niczyje głosy nie dołączają się do śpiewu młodzieży. Wielka musiała być rozpacz Limanowskiego, skoro jej echa docierają aż do nas. „Rozpoczynając śpiewać — pisze — byliśmy pewni, że odezwą się inne głosy, zapewniano nas o tem — tymczasem wszystko ograniczyło się do naszej drobnej garstki. Jeżeli cierpieć, to trzeba przynajmniej, żeby było za co. Ale cierpieć i mieć przekonanie, że się cierpi daremnie, to rzecz straszna"!

Drugim momentem będzie niepowodzenie ucieczki z Archangielska. W pierwszej chwili po aresztowaniu rozpacz Limanowskiego jest jakby odrętwiała, rozbudza ją drobny fakt. Policmajster prosi o pokazanie tabakierki, wysypuje z niej tabakę, zabiera złotą monetę, ukrytą na dnie, i oddaje pustą. „Postępek ten podstępny — pisze Limanowski — dotknął mnie ogromnie. I gniew i rozpacz tak mną owładnęły, że zaledwie łzy powstrzymać mogłem. Uczułem znowu swoją bezsilność wobec przemocy".

Trzecim momentem będzie amnestja, dopuszczająca powrót zesłańców do Królestwa, lecz, wskutek niedopatrzenia, nie obejmująca osoby Limanowskiego. W przystępie rozpaczy, poszedłszy do kąpieli, popłynął na drugą stronę szeroko rozlanej rzeki. Pośrodku natrafił na mieliznę i to go ocaliło. Gdy to zdarzenie opowiada w pamiętnikach, gniew i strach, po latach pięćdziesięciu, targa nim znowu, a opowiadanie tych przejść tragicznych, proste i pozbawione pretensyj literackich, silne robi wrażenie na czytelniku.

A. Sz.

PRZYPOMNIENIA

NASZA SPUŚCIZNA.

b) Kalendarz Ilustrowanego Kurjera Codziennego na rok 1937 przyniósł w doskonale redagowanym dziale naukowym między innemi artykuł profesora Stanisława Kota: „Dorobek Polski w kulturze powszechnej". Na czem polegał, zdaniem znakomitego uczonego, ten dorobek? Byliśmy cywilizacyjnie o tyle młodsi, nie odziedziczyliśmy nawet ruin cywilizacji rzymskiej, nie doznaliśmy takiej pomocy ze strony bezpośrednich jej spadkobierców, jakiej doznali Niemcy czy Ruś pobratymcza. Olbrzymim wysiłkiem zdołaliśmy zbliżyć się do świata chrześcijańsko - łacińskiego, kulturę jego przejąć i ugruntować na szerokich obszarach Europy środkowo - wschodniej; bo już od XIV w. byliśmy zdolni oddziaływać kulturalnie poza granicami własnemi, powiększać mapę kultury zachodnio - europejskiej. To był największy wkład Polski w kulturę powszechną. Raczej może nasza największa wobec niej zasługa.

Co stanowiło zaś wkład nasz oryginalny, własny w dziejach kultury powszechnej? Najdonioślejszy, zdaniem prof. Kota, był w dziedzinie życia zbiorowego i związanych z niem idei. Idea braterskiego jednoczenia się, idea unji. Tolerancja religijna, dochodząca w pewnym okresie do rzeczywistego, nieznanego nigdzie indziej, równouprawnienia wyznań. A wreszcie idea narodowości, stwierdzenie myślą i czynem niezniszczalności narodu, gdyby nawet byt państwowy utracił. Jakże wymownie ilustruje autor świadectwami znakomitych cudzoziemców promieniowanie tych polskich pozycyj w dorobku powszechno - dziejowym na inne narody i rosnącą stąd wielkość Polski w dziejach. Wystarczy zresztą na ilustracje rzucić okiem: czy akt horodelski — akt ślubowania przez panów litewskich braterskiej wierności koronnym; czy akt konfederacji warszawskiej z poręką tolerancji wzajemnej; czy fragment rękopisu Roussa, z ustępem, gdzie Polskę wystawia narodom za przykład, jako naród, którego siłą obronną jest patrjotyzm i miłość wolności.

Daleko stąd do gloryfikacji przeszłości i do zapominania o jej błędach i grzechach. Ale stwierdzono tu rzeczy, o których zapominać nie wolno. Wyliczono skarby, które Polska zmartwychwstająca w dziedzictwie po ojcach na świat przyniosła; które w świadomości świata stanowiły jej moralną potęgę. Strwoniliśmy z nich dużo. Biada nam, jeśli je strwonimy do reszty.

I tu się przypominają słowa innego wielkiego historyka, w innej zupełnie wypowiedziane okazji: „Charakter narodowy nieustannie postępować, dojrzewać, trzeźwieć, ale swoistych, przyrodzonych cech rdzennych pomimo ogrom-

nej czasów odmiany, wyzbywać się, zapierać ani tłumić nie powinien..."

Niepodobna też myśleć o prowadzeniu narodu z przekreśleniem jego dorobku dziejowego, z zaparciem się jego umiłowań i wierzeń, ze zdeptaniem buciskami jego ducha.

Baloniki Reklamowe

Mowa pułk. Miedzińskiego była „poufna" — to znaczy, że prasa „obozu" nie zamieściła o niej ani słowa, określając sprawozdania w prasie niezależnej jako „nieścisłe".

Jest to metoda t. zw. baloników próbnych: uda się i balonik pofrunie — to będzie można się do niego przyczepić i polecieć w górę, a nie uda się i balonik spadnie — to nikt się do puszczenia go nie przyzna i wszelkie sprawozdania z „lotu" określi jako wyssane z palca, albo wogóle: demagogiczny chwyt opozycji.

Balonik p. Miedzińskiego nie zaleciał daleko. Spadł tak szybko, jak prędko wyfrunął, pozostawiając po sobie wspomnienia oferty pod adresem O. N. R'u — oferty przyjętej ni to kwaśno, ni to wcale, bo już w zbyt kłopotliwe położenie stawiała ich ta mowa, której nie było.

Potem niestrudzony referent generalny budżetu wypuścił jeszcze jeden balonik, tym razem ze szpalt „Gazety Polskiej": sprawę żydowską.

W niedługim czasie będziemy mieć zapewne sposobność zaobserwować wzlot jeszcze kilku baloników z ofertami dla ludowców, dla P. P. S., dla przemysłowców, dla duchowieństwa, — „wsiem, wsiem".

A potem wzleci wielki balon totalizmu.

Trudno — każda firma ma prawo reklamować się, jak chce, — to jej sprawa prywatna. Podczas zawodów o puhar Gordon Bennetta — jedna z firm warszawskich wypuściła całe setki baloników z reklamami. Były nawet kupony upoważniające znalazcę balonika do nagrody: tabliczki czekolady.

Balony próbne sanacji, reklamujące jej kameleonowość i zdolność błyskawicznej zmiany przekonań w kierunku konjunktury — puszcza się narazie bez kuponów. Ale gdy chętnych do chwytania nie będzie — trzeba będzie jakąś premję obmyśleć — może obietnicę posady?

Jak dotąd wzlotom próbno - reklamowym towarzyszą przykre okoliczności: balast w postaci dyskusji budżetowej, ujawniającej coraz to mniej miłe i wonne kwiatki radosnej twórczości z pomajowej łąki.

Należy wątpić, czy balast ten da się usunąć.

Wtedy — nie pomoglyby kupony na posady i czekoladę, a mało prawdopodobne, by coś więcej mogli ofiarować dzisiaj amatorzy puszczania próbnych baloników. X.

Aby handel szedł

— Nacjonalizm? — bardzo proszę!
— Radykalizm? — już przynoszę!
Zapakować? ile gramów?
Towar — prima, mówię panu!
gatunek wprost wyborowy!
— Antysemityzm? Za wiele?
oddam pół darmo, pod słowem,
byle zyskać klijentelę!
Może mieszankę firmową —
radykalizm, nacjonalizm i antysemityzm?
nigdzie pan nie dostanie taniej, daję słowo!
wyrób nasz własny, ale znakomity —
Sama esencja do zmieszania z wodą!
Tak, tak. nasz sklenik idzie zawsze z modą —
„Nasz klijent — nasz pan!" wisi nad witryną...
wiec bardzo proszę! odesłać? zawinąć?
— Totalizm? jaki? niemiecki? włoski?
zaopatrzeni jesteśmy obficie...
może krajowy, polski,
firmy „Kici - Kici"?
— Człowiek gardło zrywa, haruje od rana...
Cóż robić? aby handel szedł!... tak... sługa pana! —

Gryf.



GARSONA, CZYLI O LIBERTYNIZMIE.

(Pretekst popielcowy).

Przed kilku laty, nie wiem zresztą, czy akurat na popielec, ale było to w każdym razie o tej porze roku, kiedy niektóre poranki już wiosnę przepowiadają, ale częściej północ jeszcze mrozem dmucha, a najczęściej wszystko tonie w mgłach i odwilżach przenikliwych i mętnych — o takiej to smutnej przedwiosennej porze roku, opowiedziano mi o zdarzeniu, które się przed kilku dniami było stało w jednej z podmiejskich wsi, gdzie wiele osób z miasta przemieszkuje. Z początkiem zimy zamieszkała tam młoda para, student kończący studja, ona, jeśli nie była szwaczką, to była t. zw. „szwaczką", dziewczyną z warstw mniej wykształconych, ale dobrze ubierającą się, szykowną i zgrabną. Może niecałkiem obojętnem, choć nie decydującem będzie, dla tej prawdziwej, a dość zresztą banalnej historji, że ona była o kilka, jeśli nie kilkanaście lat starszą od swego kochanka. Całą zimę młodzi ludzie bawili się doskonale, co wieczora do miasta, wracali nocnym albo nawet rannym pociągiem. Wszystko zmieniło się o przedwiośniu.

O przedwiośniu młodzieniec począł coraz dłużej przebywać w mieście. Dziewczyna jeździła do miasta, ale wracała sama. W końcu on znikł, a i ona zaprzestała do miasta jeździć. Pewnego dnia, zdaje się że było to po przyjściu listonosza, usłyszano z jej pokoju w y c i e. *Dosłownie „wycie", zapewniano mię. Wyła długo, godzinami, jeszcze w nocy wyła. Brzydzili się sąsiedzi, że wyje jak suka. Rano wyjechała do miasta. Jutrzejszy dziennik przyniósł wiadomość o jej samobójstwie, przez otrucie się. Ktoś życzliwy pojechał do miasta, aby choć spojrzeniem i westchnieniem pożegnać jej zwłoki, po które nikt się nie zgłosił. Leżały już czyste i wymyte na stole theatrum anatomicum, gotowe pod nóż. Osoba, która je widziała, mówiła, że najstraszliwsze sprawiała wrażenie, przy tym nagim i nieszczęsnym trupie kobiecym, paziowska, kędzierzawa, świeżo „ondulowana" fryzura krótkowłosa. Widocznie tuż przed zadaniem sobie śmierci była u fryzjera, widocznie chciała ginąć w swem naiwnem kobiecem uzbrojeniu... A może myślała, że* o n *przyjdzie popatrzyć?...*

Ktoś takie jej ułożył epitafjum: „Z szalonych, minionych mych karnawałów, z nędzy zapomnień, z rozpaczy szałów, na prosektorjum stół, obnażona, wypocząć idę — martwa garsona"...

Właśnie w tym jakoś czasie była lansowana moralność t. zw. życia ułatwionego, a między innemi chwalono i zalecano, ażeby młodzi ludzie, na studjach jeszcze, żenić się nie mogący ale żyć seksualnie pragnący, wchodzili w konkubinaty, przyczem zwrócono uwagę, jako na materjał żeński specjalnie podatny, na starsze panny. Co potem, jak taki młodzian skończy studja i zapragnie związku małżeńskiego bardziej dlań z różnych względów odpowiedniego? Wskazywano na zwyczaje w krajach rozsądnych i cywilizowanych. Takie „petites femmes" studentów franc. i „schatze" niem. burszów burżuazyjnych, ani wielkich, ani żadnych zgoła awantur nie wyprawiają, kiedy panicz po egzaminach zaśpiewa „idźmy każde w swoją drogę", bo on może się tylko dobrze, t. j. w swej sferze (i z posagiem) ożenić. Na ciche łzy znajdzie się jakaś pociecha i rozsądne dziewczęta, dobrze się wyszumiawszy, a nieraz i małem opatrzone wianem, wychodzą za mąż za swoich małych episjerów i są spokojnemi gosposiami i matkami. Ale ponoć nie zawsze tak się likwiduje sprawa, tak bez afektacji, i łatwo... Moralność ułatwionego życia liczy niedokładnie: Nie bierze poprawki z faktu istnienia d u s z r z a d s z y c h, *nawet między „tłumem": Dusz czulszych i patetycznych, które ustanawiają śmiertelną powagę miłości razem przeżytej, i które znają, co jest ludzkie przywiązanie: Razem przeżyta dobroć człowieka dla człowieka.*

Pozatem jest to moralność burżujska, tak burżujska jak burżujskim jest burżuj, ten szanowny, mąż, ojciec, obywatel, co paraduje otoczony rodziną i cnotliwie odwraca oczy, kiedy nagle, zza węgła, wyjdzie dawna proletarjacka towarzyszka rozkoszy... Kwestja lojalności, męskiej, rycerskiej: Jeśli uczynki były wspólne, skąd t u t y l e d u m n e g o b e z p i e c z e ń s t w a, t a m — t y l e b e z b r o n n e g o p o n i ż e n i a?...*Musi być złe to, czego owoc możliwy taki: Obłuda tchórzowska, niesprawiedliwość, nielojalność. Zachwalano nam libertynizm nowości, potrząsając kwiatem, a to stary i dość ptasi egoizm* b e a t o r u m p o s s i d e n t i u m.

Cyrano.

Książki nadesłane

Feliks Młynarski. Człowiek w dziejach. Jednostka — Państwo — Naród. Wydanie drugie. Warszawa 1937.

W rekordowo krótkim czasie ukazało się drugie wydanie znakomitego dzieła jednego z najwybitniejszych ekonomistów doby obecnej.

„Mamy wszyscy bolesną świadomość niedokończonej pieśni. Czujemy, że jakaś siła tajemna zatrzymała nas nagle w połowie drogi. Zdobyliśmy świtanie ranne, ale daleko do południa i pełni dnia. Zdajemy sobie również sprawę, że Polska stanęła na rozstaju dróg i od dzisiejszego wyboru zależy przyszłość pokoleń".

(az.)

DR. T. SAS-JAWORSKI.

Pogotowie rolnicze

Doświadczenia wszystkich wojen, jakie zna ludzkość, wskazują na to, że wyżywienie nietylko wojska, ale i całej ludności kraju odgrywało w nich rolę pierwszorzędną. Gdzie zagadnienia tego niedoceniono lub zbyt późno zwrócono na nie uwagę należytą, tam brak aprowizacji był jedną z głównych przyczyn klęski. Gdy w Niemczech na początku r. 1917 stworzono urząd jeneralnego Komisarza wyżywienia, było już zapóźno. Wojnę z bolszewikami w r. 1920 wygraliśmy także dzięki temu, że mieliśmy mąkę i tłuszcz amerykański. Powyższe dwa fakty dowodzą jeszcze innej prawdy: przegrana Niemiec wynikła z braku pogotowia wojennego w rolnictwie w czasie poprzedzającym wojnę, kiedy wszystko poza niem było jak najdokładniej obmyślane i przysposobione; pomoc żywnościowa Stanów Zjednoczonych była dla Polski, wygłodzonej i wyniszczonej przez okupantów, doniosłym współczynnikiem materjalnym i moralnym zwycięstwa.

W Niemczech nauka nie poszła w las. Przygotowując wojnę odwetową pod hasłem zdobycia przestrzeni dla ścieśnionej Rzeszy, Hitler zreformował całe rolnictwo przez zaprowadzenie włości dziedzicznych, określenie najlepszego obszaru 125 ha tych niepodzielnych, nieobdłużalnych i nie podlegających przymusowi prawnemu gospodarstw celem wygrania walki wytwórczej (Erzeugungschlacht), t. j. najobfitszego i najlepszego zaopatrzenia państwa w żywność. W Polsce zmierzamy niestety w kierunku przeciwnym. Kiedy nie tylko pierwsze polskie ministerjum aprowizacji już w r. 1918 ustaliło, że najmniejszy obszar samowystrczalny włościanina musi wynosić najmniej 3½ ha, a jeżeli z niego cośkolwiek ustąpi nazewnątrz, to tylko kosztem własnego niedojadania, ale zasadą tą kierują się również we Francji, Włoszech, Czechosłowacji, Austrji i Węgrzech, — u nas mówi się o najdalej posuniętem rozdrabnianiu ziemi, nie biorąc pod uwagę nauki przyszłości.

Nauka ta zaś głosi, że rolnictwo w czasie pokoju musi dostarczyć nie tylko dostatecznego wyżywienia stale wzrastającej ludności, ale nie przerywając pracy planowej nad udoskonaleniem kultury rolnej i uszlachetnieniem produkcji myśleć stale o swem najważniejszem zadaniu na wypadek wojny obronnej: aprowizacji wojska i społeczeństwa. Chodzi przytem zarówno o zwiększenie i racjonalizację wytwórczości, o meljorację i komasację, o usprawnienie i udoskonalenie przetworów do wysokości norm, wymaganych na rynkach zagranicznych, jak i o budowę elewatorów, śpichrzów, chłodni, mleczarń i rzeźni, wreszcie organizacji handlu wewnętrznego i przewozu. Wszystkie te wysiłki i urządzenia służą w czasie pokoju do wystarczającego zaopatrzenia w żywność ludności i korzystnego zbytu poza granice kraju; w czasie wojny umożliwiają wymianę produktów z krajami zaprzyjaźnionemi za surowce i wyroby wojenne, tworzenie rezerw alimentacyjnych i utrzymanie dwu armij: frontowej i pracowniczej w wytwórniach wojskowych.

Te dwa zagadnienia: wytwórczość wojenna w fabrykach i produkcja rolnicza, aczkolwiek oba wymagają studjów wstępnych, planu i rzetelnego przygotowania, zasadniczo różnią się między sobą. Przemysł wojenny pracuje w czasie pokoju na potrzeby bieżące armji i na pierwszy okres mobilizacji. Jego wytwórczość może być jednakże uwielokrotniona niezależnie od pory roku, o ile tylko będą pod ręką w dostatecznej ilości surowce, maszyny i obsługa techniczna. Wobec szybkiego postępu sztuki mechanicznej nie jest bynajmniej pożądanem, aby zapasy amunicji i broni były przysposobione np. na cały rok z góry. Inaczej ma się rzecz w rolnictwie, związanem ściśle z prawami przyrody. Ziemiopłodów i hodowli nie można w ciągu roku podwoić, można jednak tak urządzić pracę w gospodarstwie, aby przy największej i najracjonalniejszej produkcji i przetwórczości nadmiar, przeznaczony w czasie pokoju na eksport, w czasie wojny zastosować do własnych potrzeb. W przemyśle przy istnieniu podstaw fabrykacji trzeba będzie nieraz improwizować, stosując najnowsze wynalazki techniczne. W rolnictwie niezbędny jest plan długoletni, najlepszego zastosowania się do warunków krajowych, zmagazynowania zapasów przynajmniej do nowych zbiorów i reglamentacji spożycia wraz z mobilizacją.

Rozpatrując tutaj to drugie zagadnienie, trzeba otwarcie powiedzieć, że w zakresie aprowizacji ludności w czasie pokoju i wojny mamy olbrzymią pracę przed sobą. Co najgorsze, brak nam podstawy niezbędnej do ogólnego i szczegółowego planu organizacji, obejmującej całokształt tej sprawy. Statystyka zasiewów i zbiorów polega dotąd na szacunku i rejestracji; rząd nie zdobył się do tej pory na środki potrzebne do przeprowadzania spisu i szybkiej jego publikacji. Operujemy zatem tylko liczbami przybliżonemi do rzeczywistości. Wyniki spisu powszechnego z r. 1931 co do gospodarstw wiejskich według ich wielkości i użytków, aczkolwiek już dużo od tego czasu w Polsce się zmieniło, dotąd nie są znane. Ostatni Rocznik statystyczny z r. 1936 odsyła nas pod tym względem ciągle jeszcze do r. 1921. Musimy sobie jednak na podstawie rozmaitych publikacyj, liczbowo niezbyt pewnych, zestawić chociażby przybliżony do prawdy obraz, aby móc wysnuć stąd prawdziwe wnioski. Trzeba jednak ustosunkować się do nich ostrożnie.

Na wstępie podajemy kilka liczb orjentacyjnych ogólnych.

Na 37,9 miljonów ha powierzchni Polski liczymy 25,6 mil. ha użytków rolnych. Ilość gospodarstw, wynosząca obecnie około 3,8 mil., zmniejszyła się w stosunku do r. 1921 pod względem najlepiej i najobficiej produkujących, liczących powyżej 50 ha, (wynosiła wówczas 1%) zwiększyła natomiast w zakresie karłowatych i małorolnych (do 5 ha) z 34% do mniejwięcej 42%. Wobec wzrostu ludności, słabego uprzemysłowienia kraju i niemożliwości emigracji, reforma rolna nie usunęła głodu ziemi, nie zatrudniła nadmiaru rak i prawie wcale nie poprawiła produkcji. Na obszarze Polski dzisiejszej żyło w r. 1911 około 28,5 mil. mieszkańców, w 1935 r. 33,8 miljonów, wzrost wynosi zatem 15,7%. W tych okresach zbiory najważniejszych ziemiopłodów dają w miljonach kwintali obraz następujący:

	1909 — 1913 milj. q	zbior. ogóln.	1931 — 1935 milj. q	z 1 ha	Różn. w % z 1 ha
pszenica	16,8	12,4 q	19,8	11,3 q	+12,2
żyto	57,1	11,2 q	63,9	11,2 q	+10,0
jęczmień	14,9	11,8 q	14,5	12,0 q	— 3,0
owies	28,1	10,2 q	25,1	11,4 q	—10,0
ziemniaki	247,9	103,0 q	310,5	113,0 q	+20,0
bur. cukr.	41,1	245,0 q	24,1	203,0 q	—40,0

Za wzrostem ludności podążyły zatem tylko pszenica i ziemniaki, i tak już w nadmiernej ilości spożywane w Polsce, natomiast zmniejszyła się ilość jęczmienia, owsa, a zwłaszcza buraków cukrowych; to też pod wzlędem konsumcji cukru, tak potrzebnego dla organizmu ludzkiego, Polska wśród 14 państw zajmuje z dużym odstępem dopiero 11 miejsce. Jeżeli wreszcie porównamy produkcję z 1 ha z przed lat 30, nie będzie przesadą twierdzenie, że rolnictwo nasze stoi na miejscu i jeżeli nie cofa się, to jeo cechy rozwojowe są znikome. W porównaniu z sąsiadami pozostaje w każdym razie znacznie w tyle.

Z kolei należy się nam zaznajomić z hodowlą inwentarza. Nie posiadamy, tak jak przy ziemiopłodach, liczb porównawczych z okresu przedwojennego, opis jednakże, przeprowadzany co roku, ze względu na przedmiot cyfrowy, jest dokładniejszy. Wyniki były w r. 1936 następujące (w miljonach sztuk): koni 3,8 bydła 10,2, trzody chlewnej 7,1, owiec 3,0, kóz 0,4, przyczem przyrost koni wykazuje po 4 latach spadku niewielki wzrost 1%, bydła + 4,3, trzody chlewnej + 4,7%, owiec + 7,2%, kóz +7,4%. Do tej pory 80% koni kawaleryjskich dostarczała własność folwarczna. Obecnie powstało kilkadziesiąt kół powiatowych hodowców małorolnych, z biegiem więc czasu stosunek ten może zmienić się na korzyść koni włościańskich. Do eksportu nadaje się tylko bydło rogate z Polski zachodniej, podobnie zresztą jak konie. Na 6,8 miljonów krów jest w organizacjach hodowlanych zarejestrowanych zaledwie 10%. Rozporzadzenie o dozorze nad mlekiem i jego przetworami z końca r. 1932 w małym tylko stopniu przyczyniło się do uzdrowienia fatalnych warunków higjenicznych w tym zakresie i nie powiększyło spożycia nabiału. Pomimo częściowego zakazu uboju rytualnego i reglamentacji sprzedaży mięsa koszernego nie nastąpiła dotąd zasadnicza zmiana w handlu bydłem i dostarczaniu mięsa na spożycie z powodu braku organizacji u handlarzy i rzeźników chrześcijańskich. Skór przywieźliśmy w r. 1935 za 56, w r. 1936 za 67 mil. zł., wełny za 73 wzgl. 103 mil. zł., bawełny i artykułów włóknistych egzotycznych za 152 wzgl. 177,5 mil. zł.

Na ogół stosunki rolnicze Polski pod względem przywozu i wywozu w handlu zagranicznym, o ile chodzi o artykuły, surowce, półfabrykaty i wyroby gotowe pochodzące ze strefy umiarkowanej, a zatem mogące być wytwarzane u nas w kraju, przedstawiają się w ostatnich latach w wartości miljonów zł., jak pokazuje poniższe zestawienie:

	1935	1936
Przywóz ogółem	860,6	1003,4
Wywóz „	925,0	1026,2
Przywóz produktów		
rol. strefy umiark.	162,6	209,3
(ogóln. przywozu)	19%	20,9%
w tem roślinnych	22,8	26,3
„ zwierzęcych	139,8	183,0
Wywóz produktów:		
rol. strefy umiark.	331,6	423,8
(ogóln. przywozu)	35,8%	41,3%
w tem roślinnych	180,9	214,8
„ zwierzęcych	150,7	209,0

Jeżeli zestawimy przywóz produktów rolniczych strefy umiarkowanej z ich wywozem, otrzymamy saldo dodatnie dla Polski w r. 1935 + 169,0 w r. 1936 + 214,5 mil. zł. Chcielibyśmy zwrócić przytem uwagę na różnicę w saldzie pomiędzy nieopłacającym się wywozem przeważnie surowców roślinnych a półfabrykatami lub wyrobami surowców gotowemi zwierzęcemi. Unaoczniają to liczby następujące (w miln. zł.):

	1935	1936
Saldo dodatnie dla Polski	+169,0	+214,5
w tem w wywozie produktów:		
roślinnych	158,1	188,5
zwierzęcych	10,9	26,0

Z powyższych zestawień należy wnioskować, że rolnictwo nasze nie stoi na wysokości zadania pod względem wyżywienia ludności już w czasie pokoju. O ile wywozimy surowce roślinne oraz surowce i półfabrykaty zwierzęce, czynimy to kosztem niedostatecznego odżywiania znacznej większości społeczeństwa. Jeszcze pod względem konsumcji zbóż chlebowych, które wraz z ziemniakami tworzą podstawę spożycia ludności wiejskiej, położenie nie jest najgorsze, chociaż dzieje się to z krzywdą uprawy pasz i żywienia inwentarza. Natomiast pod względem mięsa, tłuszczu, nabiału i cukru ludność wiejska musi odmawiać sobie koniecznych dla organizmu białka, soli, i witamin. Na głowę ludności w Polsce przypada przecież zaledwie 20 kg mięsa rocznie, przyczem stosunek pomiędzy miastem (35 — 45 kg rocznie) a wsią jest bardzo nierównomierny.

Na wypadek wojny pomimo natychmiastowej reglamentacji położenie pod względem aprowizacji odrazu wejdzie na płaszczyznę pochyłą. Produkcja rolna skutkiem struktury ludnościowej i mobilizacji skurczy się już w pierwszym roku o 20 — 25%. Wojsko i pracownicy przemysłu wojennego oraz konie muszą być żywione lepiej, niż w warunkach normalnych. Mimo to część produktów trzeba będzie zarezerwować dla wymiany na niezbędne przedmioty użytku wojennego. Pod względem skór i tkanin znajdziemy się w położeniu wprost niebezpiecznem.

Przyszłe ministerjum aprowizacji, które za wzorem Niemiec należałoby stworzyć już dzisiaj, łącznie z organizacjami rolniczemi będzie miało do pokonania olbrzymie trudności. Im prędzej się do nich zabierze, tem będzie lepiej dla Polski.

Przegląd Prasy Krajowej

DYSPUTY.

(R.) Pan Audax z *„Kurjera Polskiego”* twierdzi, że źle czytamy jego artykuły, że podsuwamy mu poglądy, o których ani mu się śniło. Mniejsza więc o to, że p. A. scharakteryzował wszystkie stronnictwa polskie vel „partyjnictwo” w paru wierszach, poczem zredukował jeszcze własny opis do jednego aforyzmu: patrzą się jak gapa w gnat. Mniejsza i o cytaty dosłowne, pomińmy także cały ton wywodów. Bo jeśli wynikło nieporozumienie, dlatego że ktoś źle czyta lub ktoś źle pisze, to lepiej przejść nad niem do porządku. Przejdźmy teraz na teren nadal broniony przez szanownego przeciwnika.

Chodzi tu o personalizm. Śliczna to bowiem zasada, żeby „przesunąć polemikę polityczną w Polsce z terenu osobistego na grunt rzeczowy”.

Polemikę?? Zapewne, można i tak nazwać fakt zesłania do Berezy, konfiskatę pisma, narzucenie ordynacji wyborczej i t. d. Jest to polemika ożywiona i dobitna — przynajmniej dla jednej strony. Ale pozwolimy sobie sądzić, że w takich polemikach określenie „kto” natychmiast i dokładnie odpowiada na pytania „jak”. Bo są nazwiska wrzeszczące w niebogłosy. Gdyby p. Audax został premjerem, to poczekalibyśmy z oceną jego słów i czynów. Ale jeśli to samo zdarzy się p. Sławkowi, to wiemy, wiemy doskonale, wiemy zgóry i wszystko. Niepotrzebna jest rzeczowość, wystarczy personalizm.

Pan A. uważa zarzuty albo za przesadne, albo za obojętne w polityce. Bismark podobnie twierdził, że z djabłem zawrze sojusz, jeśli to będzie dogodne dla jego celów. Niestety, dalecy jesteśmy od podobnej rzeczowości i każdego djabła potraktujemy personalnie.

*

Dziennik Poznański przedrukował ustęp z artykułu *Odnowy* p. t. „Wyścig o hetmańską buławę”, i zapytuje nas o bliższe szczegóły sprawy oraz o źródło informacyjne. Jeżeli chodzi o pierwszy dezyderat, to możemy redakcję „Dziennika” odesłać do Sądu Okręgowego w Łucku i w Równem, gdzie mu, zapewne, jako pismu sanacyjnemu łatwiej będzie dotrzeć, aniżeli nam. Zaznaczyć tylko możemy, że dochodzenie prokuratorskie w sprawach ukraińskich, o których była mowa w artykule, jest jeszcze w toku, przyczem śledztwo prowadzi sędzia śledczy do spraw szczególnej wagi — sędzia Suszko i, że ujawnianie szczegółów śledztwa, choćby najbardziej sensacyjnych, nie jest jeszcze wskazane, chociażby ze względów natury państwowej.

Co do drugiego dezyderatu, okazuje się, że redakcja *Dziennika Poznańskiego* nie zna, czy nie uznaje elementarnej zasady dobrych obyczajów dziennikarskich, które mówią, że źródło informacyj, jak i osoba informatora stanowią zawsze i wszędzie t. zw. tajemnicę redakcyjną. Damy natomiast wskazówkę ogólną: należy tak postępować, aby wzbudzać zaufanie poważnych informatorów, którzy wtedy sami się zgłaszają. Może *Dziennik Poznański* poprobuje?

PAN KAWECKI.

Pisze *„Depesza”:*

„Niedawno odszedł na emeryturę wiceminister spraw wewnętrznych p. Henryk Kawecki. Mało którego dygnitarza żegnano tyloma artykułami, a może nikomu nie przypisywano odegrania tak wybitnej, choć nie jawnej roli w życiu wewnętrzno - politycznem naszego państwa.

P. Kawecki zjawił się już w senacie i będzie pracował w parlamencie. Czy i tu będzie się mógł poszczycić takiemi samemi sukcesami, przyszłość pokaże”.

O tych „sukcesach” pisze *Piast:*

„Dlaczego odszedł, nikt naprawdę nie wie, bo jest zdrów i w sile wieku (lat 51). W kołach opozycji opowiadają legendy o jego metodach urzędowania. Czy one z jego odejściem ulegną zmianie, nikt nie wie. P. wiceminister Kawecki miał wielki wpływ na wypadki w państwie, np. na nieobjęcie amnestją skazańców brzeskich. On też był autorem t. zw. „Kadzichłopów”, on urządzał p. Waleronowi słynne audiencje.

Istoty sposobów rządzenia nikt nie przeniknie, dopóki rola zakulisowych osobistości w rodzaju odchodzącego p. Kaweckiego nie będzie wyświetlona”.

Vox populi natomiast głosi, że ustąpienie p. Kaweckiego jest jednym więcej dowodem jego wewnętrzno - politycznej przenikliwości: przewidując na wiosnę trudną sytuację wewnętrzną, wolał ustąpić z pola w „pełnej chwale.”

DEKOMPOZYCJA.

Osławiony poseł Sanojca wydaje od bardzo niedawna (rok II, nr. 2) w Kołomyi „czasopismo poświęcone sprawom regjonalnym” p. t. *Pokucie i Huculszczyzna.* Znajdujemy tam ustępy, bardzo znamienne dla t. zw. stadjum dekompozycji. Posłuchajmy:

„Wykrzesanie entuzjazmu dla jakiejkolwiek sprawy jest dziś rzeczą niełatwą. Dogadanie się ze sztabami stronnictw nie jest rzeczą prostą. Czując, że okres depresji minął, że są potrzebne i że sam czas pracuje dla nich, stronnictwa dalekie są od zdania się na łaskę i niełaskę i stawiają warunki. Trudną jest już sama rozmowa z instytucjami, które niedawno „starło się na proch” i pogrzebało po to, by dziś przyjść do nich i powiedzieć: „Wprawdzie Witosa wam nie damy, ale za to gotowi jesteśmy... Wprawdzie nie godzimy się na rząd robotniczo-włościański, ale możemy tak i tak zmienić ordynację wyborczą...”

Zdaje się jednak, że większe opory przeciw demokratyzacji systemu tkwią w samym systemie i jego przedstawicielach. Istnieją wśród nich zdeklarowani przeciwnicy jakiegokolwiek rzeczywistego podziału władzy ze społeczeństwem. Wszak już w kilka dni po orędziu p. prezydenta Rzplitej, mówiącem o przeniesieniu zwiększonej odpowiedzialności na cały naród, inspiracja „Gazety Polskiej” gwałtownie zwęża sens tej zapowiedzi... A w kilka tygodni później dojrzewa nowa ordynacja wyborcza, będąca klasycznym aktem niewiary w społeczeństwo i odcięciem się od tego społeczeństwa systemem zapór, filtrów i hamulców”.

„Et tu, Chilon, contra me” — zawołał zapewne w Racławicach p. Sławek, przeczytawszy kołomyjski „odwrót na upatrzone z góry stanowisko”.

EWOLUCJE.

W artykule p. t. „Polska i wojna hiszpańska” zastanawia się *Kurjer Poranny,* kto może w Hiszpanji zwyciężyć i jakie z tego wyciągnąć wnioski dla Polski:

„Wypada się zastanowić, które z niebezpieczeństw jest dla nas groźniejsze: czy stworzenie w Europie zachodniej nowego ogniska komuny, czy wzmożenie się politycznych wpływów niemieckich na półwyspie Pirenejskim.

Zderzenie zbrojne z Niemcami przy całej swej grozie jest normalną wojną dwóch państw i narodów. Inaczej zupełnie przedstawia się sprawa, kiedy chodzi o wojnę z państwem komunistycznem. Komunizm ruszający do boju nie tylko walczy z obcem państwem, ale stawia sobie za cel wyniszczenie całkowite kultury tego wroga.

Hiszpanja czerwona stałaby się poprostu dalszym ciągiem potęgi sowieckiej, której część przerzuconoby na zachód. Nawet silne wzmożenie się wpływów niemieckich nie jest jednak utworzeniem filji państwa niemieckiego w Hiszpanji”.

W tym samym numerze p. J. E. Skiwski, którego nazwisko spotykaliśmy wielokrotnie na łamach „Wiadomości Literackich”, odżegnywa się od starego nacjonalizmu endeckiego, przeciwstawiając mu „dzisiejszy nacjonalizm młodych”:

„Jeśli mówimy o nacjonalizmie polskim, to zamykamy w jednem słowie dwa stanowiska, silnie się od siebie różniące: stary nacjonalizm endecki i dzisiejszy nacjonalizm młodych. Na nacjonalizmie endeckim zaciążyły dwa wielkie grzechy. Pierwszy — to niezrozumienie roli historycznej Piłsudskiego. Grzech drugi, który zbudował tamę między endecją i duszą narodu, to racjonalistyczne pojmowanie interesu narodowego.

Ale ta przeszłość leży za nami. Nacjonalizm dzisiejszy wolny jest od antynomji między rozsądkiem i uczuciem, która spętała siły starego nacjonalizmu. Zmysł walki i instynkt zwycięstwa — te nieodzowne zadatki każdego powodzenia — są w młodym nacjonalizmie zharmonizowane i stanowią o jego prawdziwej sile”.

Pisze w tej sprawie *Wieczór Warszawski:*

„Dodać wreszcie należy, że do składu redakcji „Kurjera Porannego” wszedł, jak słychać, ideowy twórca i organizator Związku Młodych Narodowców, p. Ryszard Piestrzyński.

„Koń trojański” z bardzo wyraźną obsadą jest, jak widzimy, wcale dobrze już ulokowany w obozie rządowym”.

Wzmianka o „koniu trojańskim” przenosi nas na łamy *Naszego Przeglądu,* który na serjo niepokoi się oznakami „uoenerowienia” p. Miedzińskiego:

„Miało się wrażenie w ciągu ostatnich lat, że posła Miedzińskiego dzieli od ob zu prawicowego jedynie kult Marszałka, że w wielu wypadkach godził by się z nimi, że zachodzi jedynie różnica taktyki między ludźmi, którzy stoją u władzy, a tymi, którzy tę władzę mają zdobyć.

W sobotę odczuwano już, że tama, jaka istniała między ludźmi, którzy należą do klubu dyskusyjnego, uczestników walk o niepodległość, a między oenerem została zerwana, że droga do dalszego marszu w kierunku prawym jest już otwarta, że jesteśmy już świadkami prze-

obrażenia się konstytucji kwietniowej w nowe formy".

Pierwsza forpoczta zdobyta przez p. Miedzińskiego w r. 1934 w postaci posłów Stahla, Piestrzyńskiego, Wojciechowskiego odegrać ma rolę konia trojańskiego, który wprowadzi ideologję prawicową w całej pełni na podwórze obozu miarodajnego".

INFLACJA.

... ale nie złotego. Chodzi o inflację pism lewicowych, która ostatnio zalała Warszawę. Poświęca w tej sprawie obszerny artykuł niedzielna *Polonia*. Artykuł wylicza, że w ciągu kilku miesięcy powstały: „Dziennik Popularny", redagowany przez członka P. P. S. Barlickiego, i początkowo, aż do kongresu P. P. S. w Radomiu, uważany za uzupełnienie wychodzącego rano „Robotnika". Dalej:

„Bardzo czerwony t. zw. Front Płomyka zakupił w ostatnim czasie „Dziennik Poranny" i nadał wyraźny polityczny kierunek temu raczej brukowemu pismu; oraz rozpoczął wydawanie pięciogroszowej „Gazety Wieczornej". Już w lutym wypuszczone zostało w Warszawie zupełnie nowe pismo, „Głos Powszechny", redagowana przez jednego z czołowych ideologów Naprawy Szuriga".

Artykuł rozpoczyna się od następującego spostrzeżenia:

„Nie może ulegać żadnej wątpliwości, że w ostatnich czasach idą bardzo poważne sumy na zmontowanie polskiego „Volksfrontu". Duża ich część idzie przytem na akcję prasową; z tych źródeł utrzymywały się tak liczne niedawno tygodniki pozornie literackie, zawierające jednak wyraźnie komunistyczne tendencje i najczęściej po kilku numerach zawieszane przez władze bezpieczeństwa. Ostatnio zaś biuletyn antykomunistyczny podał z Moskwy wiadomość, że przeznaczona tam została kwota kilkuset tysięcy złotych na poparcie jednego z codziennych pism warszawskich".

EMERYTURY.

Jedno z pism stołecznych podaje dwa fakty ze statystyki emerytalnej, które są straszliwym wprost obrazem spustoszenia, jakie w ostatnich latach poczyniono w materjale ludzkim i w groszu publicznym:

Na „łaskawym chlebie" państwowym.

Z najnowszej statystyki, dotyczącej emerytów w Polsce, wynikają 2 wymowne fakty.

1) Wydatki na państwowe emerytury wyniosły:
w r. 1924 — 33 i pół milj. zł.
w r. 1936 — 172 i pół milj. zł.

W ciągu więc 12 lat wydatki na emerytury wzrosły więcej niż pięciokrotnie.

To jest fakt jeden.

A teraz fakt drugi: Oto 75 procent emerytów jest w wieku poniżej 55 lat. Są między innemi tacy, którzy mają 40 lat, są tacy, którzy mają 45 lat, ale nie brak takich, którzy mają poniżej 40 lat, a już skazani zostali na przymusową bezczynność i na „łaskawy chleb" z kasy państwowej. Na każde 100 emerytów jest zaledwie 25 takich, którzy ukończyli 33 lat życia.

Są to fakty wzięte nie z powietrza, lecz z statystyki urzędowej. Ale cóż dziwnego, że wydatki państwa na emerytury wzrosły niemal sześciokrotnie, skoro posyła się na łaskawy chleb ludzi w sile wieku? *A. W.*

Z Prasy Zagranicznej

NOWE LOCARNO.

Na notę angielską w sprawie pokoju, rozesłaną dnia 19 listopada z. r., nie odpowiedziały jeszcze wszystkie zapytywane państwa. W tych dniach (12 b. m.) złożona została w Londynie odpowiedź belgijska, wywołując w prasie zrozumiałe zainteresowanie, tembardziej, że tekst jej nie został odrazu podany do wiadomości publicznej. Pisze o niej *Action Française:*

„Rząd belgijski nalega na przyspieszenie negocjacyj i proponuje zwołanie konferencji odpowiedzialnych ministrów mocarstw zainteresowanych. Rozumie się, że chodziłoby o zjazd przygotowawczy, który nie powinien dążyć do żadnych bezpośrednich konkluzyj; taka konferencja dawałaby możliwość łatwiejszego uzgodnienia punktów spornych."

Co innego wyczytał w nocie *Le Temps*. Przytaczając według swoich informacyj szereg punktów noty, mówi:

„Odpowiedź belgijska zapewnia, że Belgia pozostanie wierną Lidze Narodów, ale będzie się trzymać zdala od wszelkich konfliktów europejskich."

„Le Temps" znajduje potwierdzenie swych informacyj w *Morning Post*, która jest z nim zgodna co do zasadniczych punktów noty, i komentuje:

„Teza belgijska nie napotka prawdopodobnie na poważniejsze zastrzeżenia w Londynie. Inna rzecz natomiast, czy będzie możliwą rzeczą podjąć pertraktację, w których Belgja na warunkach, jakie w deklaracji wymieniła, byłaby gotowa wziąć udział. Ani Niemcy, ani Włochy nie odpowiedziały dotąd na notę angielską z 18 listopada, a koła angielskie mają w tej chwili przekonanie, że Wielka Brytanja straciła już dość czasu na przekonywanie sąsiadów, nie wykazujących dobrej woli, że winni zawrzeć układ, na który nie mają ochoty. Nie należy się więc spodziewać w najbliższym czasie jakichś posunięć w tej sprawie."

WOJNA HISZPAŃSKA.

Stwierdzić można z całą pewnością, że komunikaty bojowe z frontu wojny domowej przestały opinję europejską entuzjazmować. Natomiast zmaganie się dwóch kierunków ideowych wywołało w innych krajach szereg zadrażnień, które tem silniej wystąpiły, im są te kierunki w danym kraju silniej reprezentowane. Najsilniej żar płonącego domu odczuwa Francja, tak ze względu na wspólną z Hiszpanją granicę, jak i z tego powodu, że przy władzy utrzymuje się front ludowy. Cała prasa francuska trwa w nieustannej polemice. Tak więc *Le Populaire* obiecuje, że:

„pęd nieprzeparty opinji demokratycznej kraju zmusi rząd do zreasumowania swych decyzyj i do przywrócenia wolności działania w stosunku do Hiszpanji."

Sekunduje oczywiście *L'Humanité*, wołając: „Najwyższy czas!" Na to *L'Action Française:*

„Jeżeli chodzi o opinję demokratyczną, to nie da się zaprzeczyć jednego faktu: 99% Francuzów ma jedno tylko pragnienie: nie interesować się sprawami Hiszpanji i pilnować pokoju."

Łatwo to napisać, ale trudniej wykonać: całe pogranicze francusko - hiszpańskie roi się od agentów, kupców, aferzystów, przemytników. Czytamy np. w *Indépendent des Pyrenées Orientales:*

„W ostatnich dniach do miejscowości pogranicznej Cerbères przybyło wiele automobili ciężarowych z Francji, bez żadnego znaku rejestracyjnego. Jest już publiczną tajemnicą, że te auta, tak ciężarowe jak turystyczne, nie mają żadnego właściciela, a ci, co je prowadzą, usuwają się z pod wszelkiej kontroli. Gdyby któryś z tych wozów uszkodził jakiś wóz francuski, właściciel tego ostatniego nie miałby żadnego rekursu do tych automobili bezpańskich bez numeru, bez asekuracji, bez żadnej normy i stanu prawnego".

Handel zresztą idzie na wielką skalę. Nie kryje się z tem *La République:*

„Wiemy dobrze, że w Burgos toczą się negocjacje o dostawę pirytu. Francja prowadzi handel z Hiszpanją powstańczą. Zapewniamy, że francuskie koła przemysłowe, które napewno nie pracują bez milczącej zgody rządu, przyjmują od powstańców wszystko, co ci mogą eksportować po cenach przystępnych".

Nielepiej się dzieje zapewne od strony Portugalji, skoro komisja londyńska wciąż projektuje jakieś sankcje czy nawet specjalną kontrolę. Prasa portugalska reaguje żywo na wszelkie projekty ingerencji w wewnętrzne sprawy kraju. *Diario de Noticias* zapewnia:

„Komitet londyński nie posiada żadnej kompetencji prawnej do przeprowadzania kontroli granicznej. I nigdy Portugalia nie zezwoli na podobną kontrolę na swojem terytorjum. Zdajemy sobie doskonale sprawę, jakim niebezpiecznym precedensem taki fakt wynikający z postanowień międzynarodowych, byłby dla narodów słabych."

Jeszcze silniej oponuje *A Voz:*

„Nie zgodzimy się oczywiście na mianowanie stałych obserwatorów, którzyby w Portugalji kontrolowali jej neutralność. Jakżeby bowiem rząd mógł się zgodzić na oficjalne szpiegostwo, kierowane z którejś z ambasad?"

„TRZECI FRONT".

Le Temps donosi:

„Okręt hiszpański Varjari zawinął do portu w Gdyni pod flagą wolnej republiki baskijskiej. Nie uznaje rządu ani w Walencji, ani w Burgos. Wyruszył z Bilbao 26 października. Załoga oświadcza, że nie wróci do Hiszpanji przed ukończeniem wojny domowej."

POLONICA.

N o w e p i s m o p o l i t y c z n e.

Correspondance Havas oraz *Le Petit Parisien* zamieszczają nader pochlebne wzmianki o powstaniu tygodnika „Odnowa".

„Pismo to grupuje czołowe osobistości bloku centrowo-narodowego i broni polityki czysto frankofilskiej prez. Paderewskiego, Wincentego Witosa, gen. Hallera etc. W zakresie polityki wewnętrznej prowadzi kampanję przeciw nowej konstytucji". *Azet.*

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1,50; zagranicą zł. — 2,— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ st. — zł. 125,—; ¼ str. — zł. 75,—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.

Zakłady Graficzne DRUKPRASA, Nowy-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.